ŚWIAT

Nr. 51 - 52.
19-26 XII.1936.
CENA 1 ZŁ



Fot. St. Plater - Zy

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 51-52 19-26. XII. 19

ODDAJĄC DO RĄK NASZYCH CZYTELNIKÓW ŚWIĄTECZNY NUMER „ŚWIATA" NIEMAL TRZYKROTNIE ZWIĘKSZONY POŚWIĘCONY WARSZAWIE ORAZ WARSZAWIANCE — PRZESYŁAMY WSZYSTKIM NASZYM PRZYJACIOŁOM, PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE.

REDAKCJA „ŚWIATA"



Fot. St. Plater - Zyberk.

Dziatwa stolicy w paru punktach miasta ujrzała ozdobnie ustrojone choinki, rozjarzone tysiącem świateł. Setki młodych oczu podziwiały ten widok.

L. CHRZANOWSKI.

NASZA STOLICA



Portal słynnego domu Fukiera na Starem Mieście.
Fot. dr. T. Przypkowski.

Od chwili odzyskania Niepodległości, na Warszawę, jako na stolicę wielkiego Państwa, spadł nowy splendor, ale spadły również nowe rozległe obowiązki.

Warszawa, jako miasto, była gnębiona przez okupanta rosyjskiego, uniemożliwiającego jej celową, planową rozbudowę. Wszelkie zamiary, czy usiłowania urbanistyczne rozbijały się o zakazy „forteczne", o wpychanie miasta w jego ramy centralno-śródmiejskie. Warszawa tłoczyła się, brakło jej oddechu. Niszczono jej zieleń. Pałace zamieniano na koszarowe budynki, jak np. pałac Staszyca, gdzie wszystko co było stylem, co łączyło się tradycyjnie z dawną Warszawą — niszczono, brukano, zamurowywano.

Zaborca starał się zeszpecić Warszawę, zerwać nici tradycji, tamował jej rozwój i rozbudowę przez zakazy budowlane, które rzadko tylko przemagały sute łapówki „czynowników" budowlanych.

Ale dziś, od lat 18-tu Warszawa jest niepodległą Stolicą!

Stała się sercem wielkiego Państwa.

W latach najostatniejszych rozwój Warszawy i praca nad uzewnętrznieniem jej piękna poszły wielkiem tempem.

Piękno i czyn Warszawy zasługują już dziś nietylko na sygnalizowanie, przypomnienie. Zasługują na odżycie, na odrodzenie się tych szlachetnych „patryjotów" własnego miasta, których ambicją staje się społeczna, obywatelska praca nad upiększaniem i rozwojem własnej stolicy. Nad upiększaniem miasta, które jest własnością wszystkich obywateli Państwa, BO JEST STOLICĄ PAŃSTWA. Miasta które być winno dumą wszystkich obywateli — BO JEST STOLICĄ PAŃSTWA!

Bo stolicy państwa nie wolno traktować tylko jako miasta największego, z najliczniejszą ludnością, siedliska urzędów i władz!

Stolica państwa, to zawsze niemal odbicie wielkości, twórczego impetu i kulturalnego poziomu państwa. To nietylko reprezentacyjna ozdoba, *to serce kraju,* na którego siłę i piękność muszą się składać wszyscy obywatele, cały kraj.

Kiedy państwo jest w niebezpieczeństwie, w okresach walk i wojen, czyż wrogowie, nieprzyjaciele nie po stolicę sięgają, aby złamać siłę moralną, podstawę odporności kraju?

Czyż w czasie ostatniej wojny pułki niemieckie nie po to parły na Paryż, aby w swem przekonaniu zakończyć wojnę zwycięsko, zajmując Paryż — stolicę Francji?



Widok z góry na kamienice Rynku staromiejskiego.
Fot. dr. T. Przypkowski.

Czyż w czasie wojen szwedzkich nie bój o stolicę, o Warszawę moralnie i definitywnie zdecydował o zwycięstwie Jana Kazimierza?

Takich przykładów możnaby brać z historji wiele. Wszędzie, na całym świecie, pomimo bogactw kulturalnych i przemysłowych różnych dzielnic, każdy kraj kocha przedewszystkiem swą stolicę.

Pyszni się nią.

Jest z niej dumny.

Pragnie, by ona była piękna.

Najpiękniejsza!

Tak Francja myśli o Paryżu.

Włochy o Rzymie.

Niemcy o Berlinie.

Anglja o Londynie.

Tak Polska cała powinna myśleć o Warszawie.

Kiedy mieszkając przez szereg lat we Włoszech, miałem możność rozmawiać z jednym z najwyższych kierowników faszyzmu na temat piękna i rozwoju Rzymu— powiedział mi on z największym przekonaniem: „Rzym — ależ Rzym jest równie dobrze moim, jak i pana!

Czyż cały świat nie składał się na jego piękno? Czyż te tysiące wiernych, co przybywały do Rzymu papieskiego, te tysiące przybywające by podziwiać, studjować czy tylko oglądać piękno Rzymu starożytnego i naszego Rzymu, który odsłaniamy i budujemy — czyż te tysiące nie składały się, nie przyczyniały do piękna i potęgi Rzymu? Czyż one z tych lub innych pobudek nie szły do Rzymu pełne miłości?“.

Takie stanowisko wobec własnej stolicy jest nietylko słuszne, mądre, ale i praktyczne.

W Polsce, mówiąc szczerze, jeszcze nie wyrobiło się takie umiłowanie stolicy. Ambicja, aby ona jaknajgodniej reprezentowała kraj i państwo — nie jest jeszcze powszechna. Przeciwnie. Są nawet pewne głosy, które złośliwie sadzą się na szerzenie uszczypliwości, nie doceniając często roli i znaczenia stolicy.

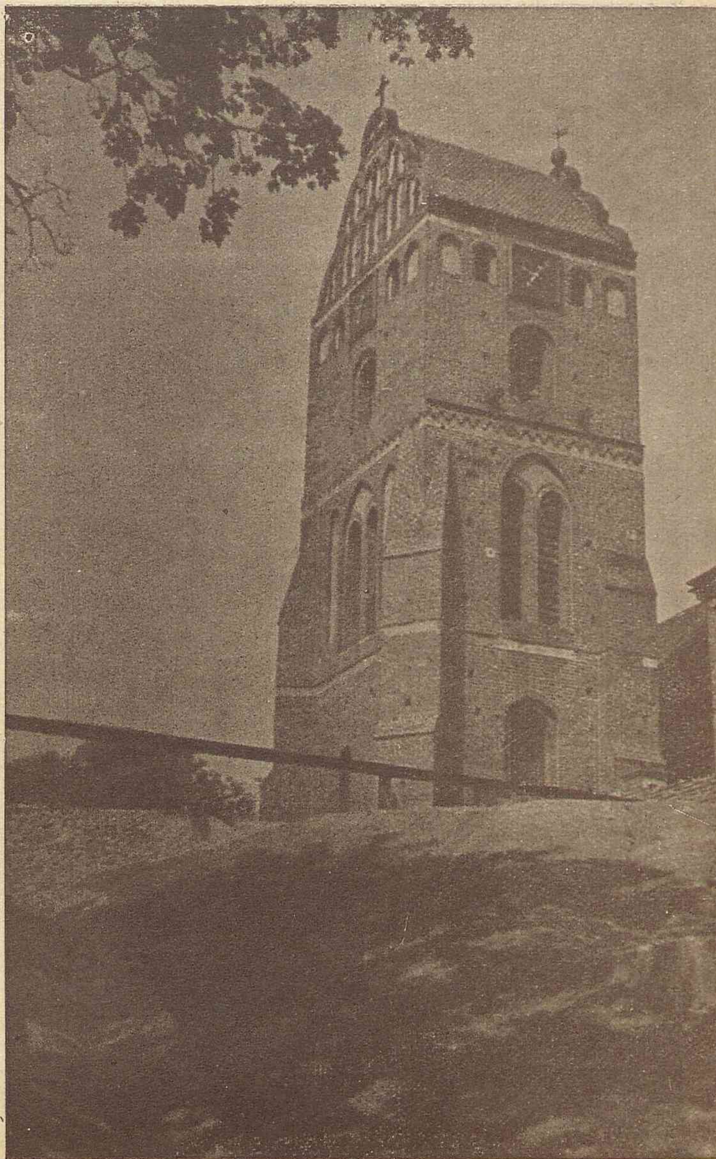
Ale Warszawa, nie bacząc na te często niesprawiedliwe przytyki, rozwija się, pięknieje i pracuje.

To, czego już dokonano w zakresie planowych inwestycji, w zakresie bruków, arterji komunikacyjnych, dostarczenia wielu tysiącom obywateli przedmieść światła i opału (elektryczność i gaz), rozwoju linji tramwajowych i autobusowych, parków, ogrodów, zieleńców — to wszystko składa się na poważny, doniosły *Czyn Warszawy*.

Czyn — w którym o pięknie i stronie reprezentacyjnej stolicy również pieczołowicie pamiętano.

Ani w jednym artykule — ani nawet w całym jednym numerze nie dałoby się tej pracy rzeczowo i dokładnie omówić. Poświęcając w dniu najradośniejszym w roku, część naszego numeru pięknu i czynowi Warszawy — pragniemy zaledwie pobieżnie przypomnieć je obywatelom państwa i stolicy. Pragniemy również przypomnieć staremu patrycjatowi rodzin warszawskich i ich nowym pokoleniom, że ich miasto, najbliższe ich sercu miasto z radością czeka na szeroką współpracę, na godne zapisywanie się ich nazwisk w szlachetnej rywalizacji pracy, dla piękna i rozwoju stolicy.

URBOK MURÓW STAREJ WARSZAWY





Zdjęcie powyżej:

Kościół N. Marji Panny na Nowem Mieście

Zdjęcie obok:

Kamienne Schodki

fot. dr. T. Przypkowski

ARTUR OPPMANN (OR-OT)

Zaułki

Lubię was, stare mury, oplecione w bluszcze,
Mchem zielonym porosłe dachówki i cegły.
Opodal szara Wisła monotonnie pluszcze,
I przez stęsknione oczy myśli wstecz wybiegły.

Jak cicho tu się żyło i jak błogo pewnie,
W tych ścianach, skąd gra echem mowa dawnych ludzi!
Dni płynęły, jak bajka o śpiącej królewnie,
Na którą wciąż się czeka, którą wciąż się budzi.

Furty, których jak gdyby nikt już nie otwiera,
Okna, gdzie dzikie wino wije się, jak wilo, —
I tu widzisz dokładnie, że nic nie umiera,
Że wszystko jest, jak było, i będzie, jak było.

Na rzekę staroświecki spogląda ganeczek,
I jaśnieją, jak gwiazdy, niebieskie oczęta.
Drżą w powietrzu melodie najmilszych piosneczek,
Których nikt już nie śpiewa i nikt nie pamięta.

Życie tu się tak dziwnie uczuciem nasila,
I tak skraca się w przestrzeń lat wielu, snów wielu,
Że wieki, które przeszły, są jak jedna chwila,
Co właśnie w dniu dzisiejszym stanęła u celu.

Gdy zabłądzisz w te kąty o wieczornej porze,
Kiedy wniklwa cisza nad miastem przepływa,
To tak, jakbyś się ocknął w innej czasów porze,
Która jest twemu sercu jedynie właściwa.

Przeminęły stulecia, a ty wiesz, że ongi,
Tak samoś chodził tędy, jak teraz, po wiekach,
I oglądałeś w niszach te same posągi,
Z tym samym drżeniem serca,z tą łzą na powiekach.

I pod tamtymś okienkiem przystawał ukradkiem,
Ukochanej twarzyczki czekając widoku,
I rączki, co rzuconym obdarzy cię kwiatkiem,
Byś cudną wizję szczęścia całą noc miał w oku.

Lubię was, krętych ulic wąskie korytarze,
Stare domy zaułków, szare i posępne,
Godziny, na zamkowym bijące zegarze,
I odwiecznych kościołów wieże wniebowstępne.

I choć tak po królewsku ubarwił się Rynek,
Wy zostańcie, jak teraz, w swojej mgle szarości,
Jak lat, które minęły, zmurszały wspominek,
Może smutny, lecz godny i czci, i miłości.

Zaułek augustjański

Fot. dr. T. Przypkowski

(Z tomu „Pieśń o Rynku i Zaułkach", Warszawa — 1932, J. Mortkowicz).

ARTUR OPPMANN (OR-OT)

Grób Nieznanego Żołnierza

Chciałbym o brzasku, Żołnierzu Nieznany,
Przyjść na twój świtem zróżowiony grób,
I z mego okna kwiat, świeżo zerwany
Na dnia zaczęcie, złożyć u twych stóp.
Klęknąć na świętym, jak Ojczyzna, grobie
I, śpiący bracie, podziękować tobie,
Iż skrzydła życia przypiął mi twój trup.

Z ocknionych świątyń, nad cichą mogiłą
Dzwon by po dzwonie jął pacierzem grać,
I jedną mową serce by nam biło.
Dałeś nam wszystko, coś mógł, chłopcze, dać:
Pierwsze kochanie, żal drużyny bratniej
I krew chłopięcą do kropli ostatniej,
Aby na wieki bez imienia spać...

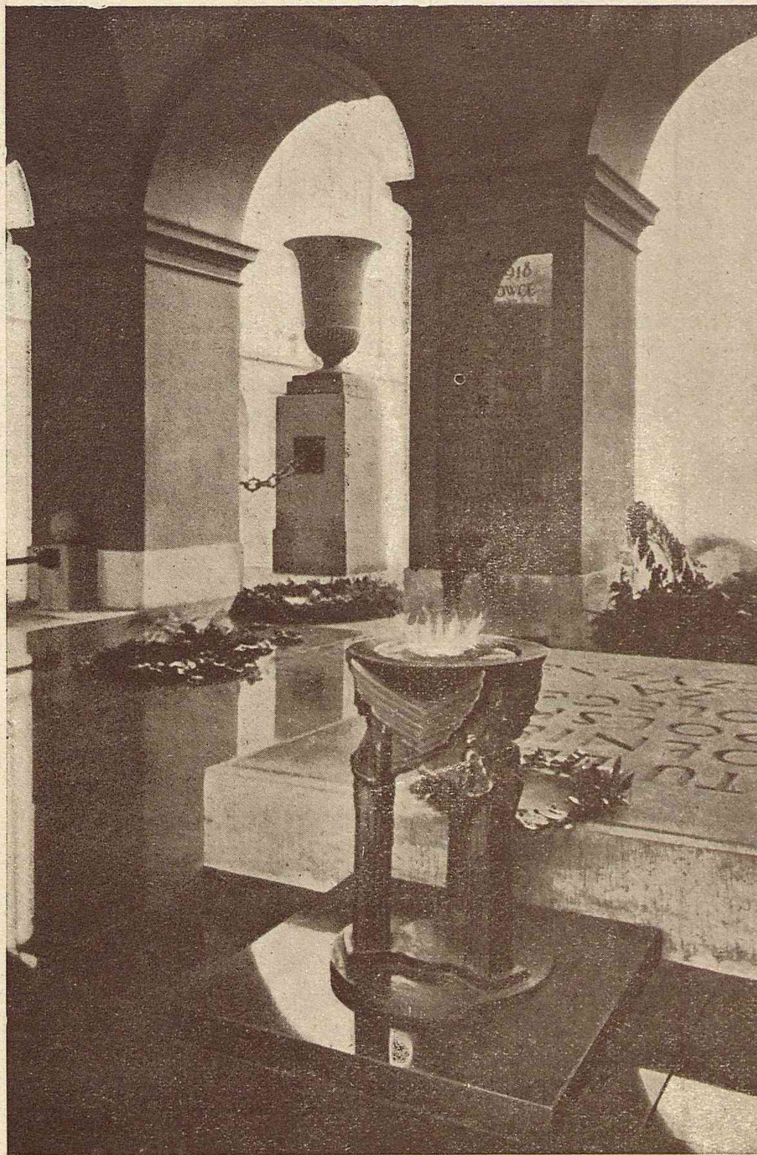
Cóż twoje życie na dziejów przełomie?
Czyż warto ronić łzę dla takich strat?
Ale dziś, chłopcze, w każdym naszym domie
Otwarte okna na zorzę, na świat!
Idą w szeregach twoi bracia zbrojni,
Szumi im sztandar: — Strażujcie spokojni;
Dla was zwycięstwo, — a on w boju padł...

Kipi ulica hałaśliwym gwarem,
Wzdyma się falą znojny bytu ruch, —
Stój: w dnia gonitwie — chwila, co jest czarem,
Na mgnienie oka puść w mogiłę słuch;
Nieukojonym matkom i sierotom,
Niewypłakanym łzom ich i tęsknotom
Złóż hołd... Idź dalej: pozdrowił cię duch...

Chciałbym, gdy ciszę i spoczynek niosą
Dnia skrawe blaski, co dogasa już,
Przyjść z mą maleńką wnuczką złotowłosą,
W złotej czerwieni zachodzących zórz.
Bezimiennemu Polski żołnierzowi
Moja maleńka niech: „śpij z Bogiem“ powie,
I na dobranoc da mu garstkę róż...

Lśnią złote gwiazdy na wysokim niebie,
W dolinach ziemi pusta, głucha noc;
Szary żołnierzu, widmami do ciebie,
Schodzi przeszłości nieśmiertelna moc:
Z szaleńczych bitew, ze szubienic stryków,
Z katorg Sybiru, z lochu niewolników,
Padł laur triumfu na kamienny kloc.

I niech wie obcy, gdy do nas zawita,
Żeśmy rycersko wyszli z krwawych prób,
Że kwiat wolności z naszej krwi rozkwita,
A krew zawarła z wzgardą śmierci ślub.
Świadczą za nami bojowiska świata,
Prochy w obczyźnie — i sława skrzydlata —
I ten Żołnierza Nieznanego grób...



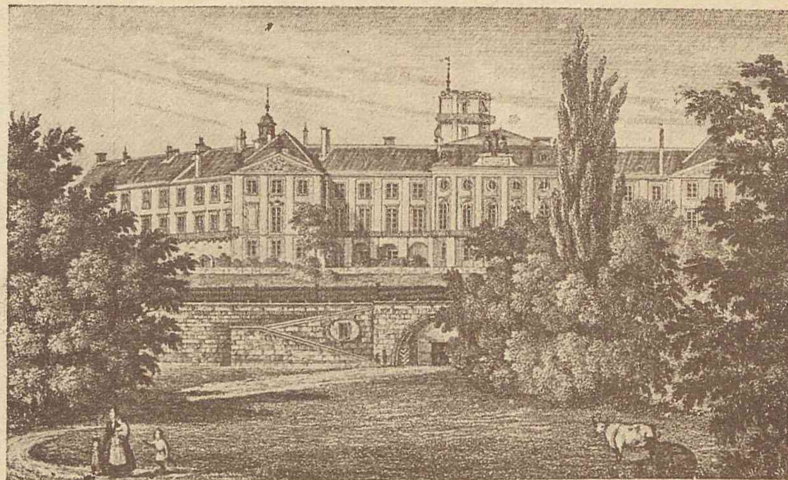
Grób Nieznanego Żołnierza

Photo - Plat

(Z tomu „Hymn wolności“, Warszawa — 1925, Gebethner i Wolff).

L. LEWENSTAM.

NAJWIĘKSZA OZDOBA BULWARÓW STOLICY



Widok Zamku Królewskiego od strony Wisły — według stalorytu F. A. Dietricha z lat 40-tych XIX stulecia. Podówczas taras i ogród zamkowy, jak widać, dochodził niemal do brzegu rzeki. Po środku ryciny wieża — to obserwatorjum astronomiczne króla Stanisława Augusta, później zniesione przez Moskali. (ze zbiorów autora).

Kilka dni temu byliśmy świadkami uroczystości, która przeszła bez większego echa i której ogół mieszkańców stolicy nie docenia należycie. Mamy na myśli otwarcie ulicy-bulwaru wzdłuż brzegu Wisły.

Dzięki ulicy tej, przezwanej dość dziwacznie „Wisłostradą" Żoliborz uzyskał drugie połączenie z miastem.

Nie to jest jednak najważniejsze. Otwarcie „Wisłostrady" — to pierwszy właściwie widomy dowód realizacji hasła „czołem ku Wiśle".

Dziwnie się tak jakoś złożyło, że Warszawa wbrew przykładom wszystkich bodaj wielkich miast, nad brzegami rzek rozbudowanych, rosła tyłem ku Wiśle. Działo się tak może dlatego, że brzeg warszawski jest wysoki i stromy, dojście więc było zawsze i dziś jeszcze jest dość utrudnione.

Drugi powód — to to, że w dziejach Warszawy nie znalazł się żaden mecenas, któryby wskazał na walory estetyczne, jakie Wisła dać może.

W każdymbądź razie mamy jeden tylko wypadek w historji rozwoju stolicy Polski, kiedy próbowano ją ku Wiśle odwrócić — było to założenie dzielnicy willowej, której sama nazwa wskazywała, iż o Wisłę chodzi — Żoliborz, t. j. spolszczone fonetycznie słowa francuskie *joli bord* — piękny brzeg. Historja tej dzielnicy dobrze jest znana. Założona w końcu XVIII w., została zrównana z ziemią z rozkazu cara Mikołaja I. Na jej miejscu stanęła „na postrach buntownikom" cytadela warszawska.

Od czasów owego dawnego Żoliborza przez wiek cały nic nie robiono, a raczej robiono wszystko, by Warszawę od Wisły jaknajradykalniej odwrócić.

Co prawda od czasu do czasu odzywały się sporadyczne głosy, protestujące przeciwko zaniedbaniu powiśla.

Dopiero jednak obecnie, dzięki Zarządowi Miejskiemu, kierowanemu przez p. prezydenta St. Starzyńskiego słowa zaczynają się wcielać w czyny.

Pierwszy czyn — to właśnie otwarcie „Wisłostrady". Sporo jeszcze trzeba będzie czasu, pracy i pieniędzy, zanim „Wisłostrada" stanie się ozdobą stolicy.

Jest już przecież punkt na „Wisłostradzie", który niewątpliwie już wkrótce otrzyma taki ogólny wygląd, że stanie się jej największą ozdobą. Mówimy o Zamku Królewskim. Dziś brzeg od tarasu zamkowego dzielą (burzone już zresztą) koszary (mieścili się tu t. zw. czerkiesi), zbudowane za okupacji moskiewskiej. Zanim je zbudowano, od tarasu aż ku brzegowi Wisły szedł ogród, jak widać na załączonej rycinie. Ten stan rzeczy ma być przywrócony.

Ogród ten powinien być w ten sposób urządzony, by stanowił niejako przedłużenie ogrodu na tarasie zamkowym. Fasada Zamku od strony Wisły została gruntownie odnowiona i doprowadzona do stanu, w jakim ją odziedziczyliśmy po Stanisławie Auguście, ściślej biorąc po Auguście Sasie. Król ten planował, jak wiadomo, znacznie rozszerzyć front od Wisły i stworzyć wspaniały ogród, któryby kaskadami schodził ku rzece. Plan ten jednak nie został zrealizowany ani przez niego, ani przez Poniatowskiego.

Trudno dziś dociec, dlaczego ten ukoronowany mecenas-esteta, mało, artysta sui generis nie widział piękna brzegów wiślanych i nie wykorzystał ich dla przebudowanego i urządzonego tak świetnie Zamku. Tak widać już chciał los. Bo gdyby król nad brzeg zeszedł, byliby za jego przykładem poszli i ówcześni magnaci. Stałyby może nad Wisłą takie pałace, jakie widzimy na Krakowskiem Przedmieściu.

Dziś musimy naprawiać tamte niedopatrzenia i późniejsze półtora niemal wieku gospodarki wręcz barbarzyńskiej na pobrzeżu.

Początek już zrobiony, a początek to rzecz zawsze najtrudniejsza. Jeszcze lat kilka, a „Wisłostrada" stanie się ulubionym zakątkiem warszawiaków, jeśli zaś środki się znajdą — prawdziwą ozdobą miasta.

ARTERJE NOWEJ WARSZAWY

Warszawa należy do miast żywych.

Miastem żywem jest Paryż, sięgający po coraz nowe hektary przedmieść. Rzym, odkopujący klejnoty swych starodawnych epok, a jednocześnie tworzący nowe dzielnice. Berlin rozpełzający się jak olbrzymi polip i swemi domami — koszarami, pchający się we wszystkich kierunkach.

Żywemi są wszystkie miasta, posiadające dynamikę dzisiejszości. Dzięki niej nie stają się one tylko pomnikami piękna, dokumentami architektonicznych stylów. Tylko miasta umarłe — są jedynie zabytkami. Ich artystyczny walor, to często skarb dostojny, ale o ile nie mają sił żywotnych, ciągle krążącej energji, tracą zwolna kontakt z życiem współczesnem.

Warszawa należy do miast żywych.

Od niedawna uwolniona od barjer okupanckich, upiększa się i rozwija z impetem.

Inwestycje Warszawy idą w różnych kierunkach. Nietylko scala się piękne przeszłości, nietylko doprowadza się do porządku i czystości istniejące ulice, nietylko wykonywa się doskonałe nawierzchnie.

Najdonioślejszą inwestycją stolicy jest niewątpliwie konstruowanie i doskonalenie jej arteryj wypadowych, jej dróg komunikacyjnych, wiodących na Kraków(Poznań, Wilno, Gdynię, Lublin, Katowice — nie mówiąc o wielu punktach pośrednich. Planowość tej akcji polega na tym, iż czuwa się, aby drogi wypadowe szły we wszystkich kierunkach. Niema uprzywilejowań — jest troskliwa baczność, aby południe, wschód, północ i zachód były obdzielone równomiernie.

A nie zapominajmy, że drogi wypadowe, to nie są zwykłe ulice. Bo te na krańcach stolicy doskonalone arterje, to cały splot robót, zmieniających charakter całych dzielnic, *tworzących nowe dzielnice*. Bo arterja wypadowa, to przedłużenie sieci gazowej i elektrycznej, to rozwinięcie torowisk tramwajowych, to budowa kolektorów i kanałów, pociągnięcie linij wodociągowych, to często zamiana napowietrznych przewodników na kable podziemne — jednem słowem — to niesienie kultury i hygjeny domu, mieszkania, ulicy, dzielnicy! To zamienianie ciemnych peryferyj — zaułków nędzy i występku — na nowoczesne, hygjeniczne arterje. To udostępnianie ludności podmiejskiej kultury, to pochód tej kultury wgłąb przedmieść i odludzi. Spójrzmy nieco szczegółowiej na to, czego dokonało miasto w ciągu ostatnich miesięcy w tym zakresie.

W roku zeszłym wykonano z rozmachem prace na Grochowie i na ulicy Grochowskiej, oraz w Alei Waszyngtona. Wystarczy przejechać się po tych ulicach, aby zobaczyć, w jakim tempie obecnie zabudowują się one i zaludniają. Sprawdza się tam, jak zresztą i w innych dzielnicach, aksjomat, że jedna złotówka inwestycyj publicznych pociąga za sobą do 9-ciu złotych dodatkowych inwestycyj z kapitałów prywatnych, zmuszając je do intensywniejszej pracy i obrotności.

W roku bieżącym miasto dokonało kapitalnych inwestycyj przedewszystkiem na Woli. Ogólny koszt przebudowy ulicy Wolskiej wyniósł około 3-ch miljonów złotych. W cóż zamieniły się te sumy? Wykonano więc jezdnie 40,400 metrów, ułożono chodników 15,200 metrów. Tramwaje przebudowały tory na dystansie 6-ciu kilometrów, gazownia miejska ułożyła 1587 metrów nowych przewodów gazowych. Oto prozaiczne pozycje — ale ileż w tej prozie mieści się radości i zdrowia ludzkiego! Kto brnie po kostki w błocie, kto w ciemnościach potyka się na wybojach, dla tego nowy bruk, chodnik, gaz w kuchni — to poezja często bardziej wzniosła, niż kunsztowny sonet czy tryjolet!

Jakże wzmożono tętno życia tej ludnej, ruchliwej dzielnicy, ileż jej zdrowej krwi zastrzyknięto!

A ileż zarobków dano przy tych pracach robotnikom, skoro na roboty brukarskie wydano 1,294,200 zł., na kanałowo-wodociągowe 799, na tramwajowe 630.000 zł. Aby mieć pełny obraz tych robót dodajemy, że w ten sposób ulica Wolska przebudowana została na dystansie 3 kil. 276 mtr., że zyskała kolektor, kanał kryty i... park przy ulicy Elekcyjnej. A więc estetyka i piękno mają należne miejsce w tej planowej akcji.

Widzimy również owoce tej akcji z identyczną troską przeprowadzonej na ulicy Radzymińskiej kosztem 442,000; gdzie 3200 tonn kostki, 7800 mtr. kw. płyt betonowych, 4000 mtr. kamienia polnego, 4580 mtr. krawężnika przyczyniło się do zmodernizowania drogi wiodącej do Wilna.

Podobny nakład energji i impet twórczej pracy notujemy na ulicy Puławskiej, gdzie przepracowano 15.100 robotniko dniówek i oprócz robót inwestycyjnych usunięto również kolejkę Grójecką, aż do granic miasta. Budowa Alei Niepodległości, łączącej ul. Rakowiecką z ul. 6-go Sierpnia i związanie w ten sposób śródmieścia z dzielnicą zachodniego Mokotowa i Rakowca — to rozpoczęcie realizacji dzielnicy Imienia Marszałka Piłsudskiego i przyspieszenie zabudowania tego obszaru.

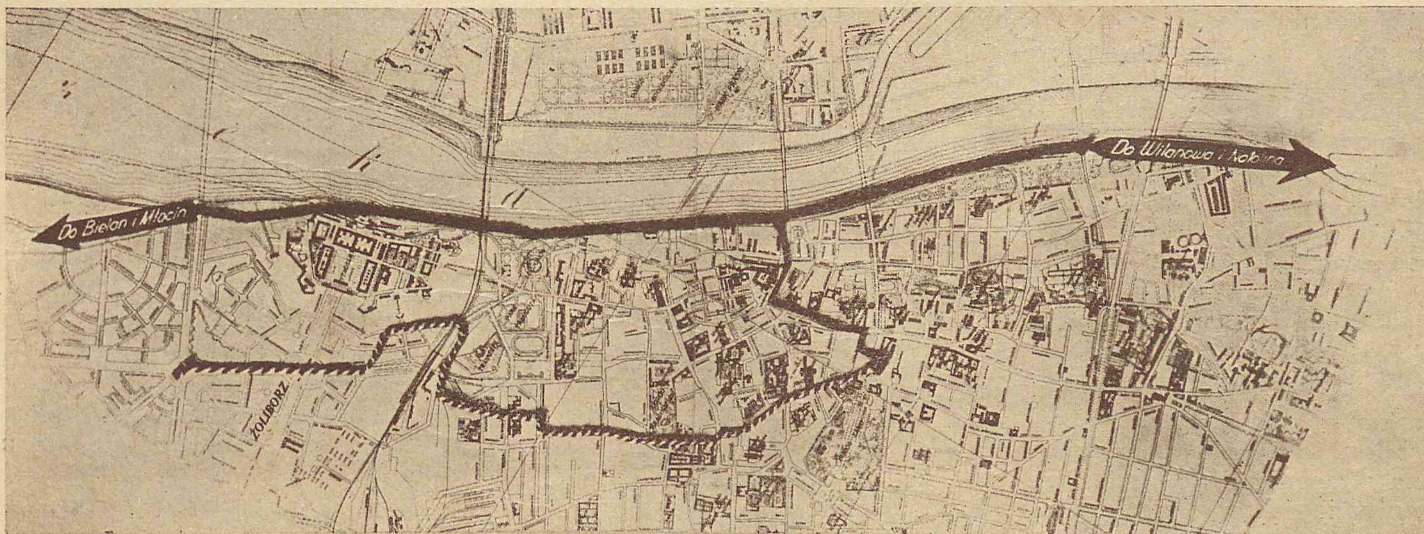
A na zapuszczonym „froncie Wisły" też wre praca. Na wale Miedzeszyńskim wyasfaltowano jezdnię od mostu Poniatowskiego do Wału Gocławskiego na długości 3 kilometrów. Rozszerzony został wał do 13 metrów w Koronie, przez co wzmogła się ochrona przeciwpowodziowa i stało się możliwe puszczenie wyasfaltowanej jezdni górą wału, co stworzy wspomnianą i piękną arterję — umożliwiającą widok na Wisłę i Warszawę. Ta arterja ukończona zostanie w 1937 roku.

Dokonaliśmy bardzo pobieżnego wyliczenia prac spełnionych. Wskazaliśmy na wytyczne, jakiemi kieruje się Warszawa przy budowie swych arteryj wypadowych.

Pamiętajmy, że jak zaznaczyliśmy, powstawanie tych arteryj, to nie jest zwykłe zakładanie nowych ulic. Bo obok ulic — dróg, ulic — arteryj wypadowych powstają nowe dzielnice, wyrastają domy, ukazują się zamożniejsze i skromne sklepy, zjawiają się warsztaty pracy. Pieniądz szybciej się obraca, żywiej pracuje. Organizm miasta rozrasta się. Zbliżamy do Warszawy okolice bliższe — ułatwiamy dojazd nawet dalszym! Skoro miasto, wielkie miasto rozrasta się z sensem i planem, to nietylko powiększa się i olbrzymieje, wzrasta i bogaci — ale również lepiej oddychają, normalniej pracują jego śródmiejskie dzielnice.

A kiedy tak rośnie i rozszerza się stolica — to powiększa się, upiększa i krzepnie — serce państwa.

B. P.



Inaugurowana w ubiegłym tygodniu nowa arterja Stolicy, łącząca śródmieście z Żoliborzem.

POŁÓW PEREŁ



Obrazy – czy szpilki?

Wiadomo, że w Sowietach wszystko, co trąci „zgniłym Zachodem" wzbudza tylko wstręt i pogardę. Nic nie jest warta literatura burżuazyjnej Europy! Nic nie warta jest wiedza! Nic nie warta sztuka! Chyba że...

No, chyba, że da się za grubszą monetę spieniężyć. Wtedy nabiera wartości. Nieoficjalnie. Pocichutku.

Jak się mimowoli okazało — takiej wartości nabrał w tych czasach w Rosji — Rembrandt. Urzędowy sowiecki Baedecker notował jeszcze w roku 1928 w samym Leningradzie 42 obrazy Rembrandta. Było ich pozatem kilkanaście w muzeach moskiewskich i prowincjonalnych. Tymczasem — cóż się dzieje? Otwarto w tych dniach w Moskwie wystawę *wszystkich* dzieł Rembrandta, znajdujących się w Sowietach. Jest ich — *zaledwie 29*.

Osiemnaście bezcennych obrazów mistrza — zginęło. Tak, jak giną szpileczki w szparach podłogi.

Dziwaczne drobnostki

Kto ma opłacone prawo do rozmów międzymiastowych w Polsce, ten wie, iż płaci za nie po otrzymaniu rachunku, wystawionego przez Zarząd Telefonów. Właśnie znajomym moim przyniesiono taki rachunek. Wynosi 32 grosze.

Wywiązuje się na poczekaniu następujący djalog:

Pani domu: „Zaraz panu zapłacę".

Listonosz: „Pani wybaczy — mnie tych pieniędzy nie wolno przyjąć. Pani musi je wpłacić do urzędu pocztowego, albo do PKO, albo do Telefonów — ale nie mnie".

Pani: „Jakiż sens ma posyłanie kogoś specjalnie, aby wpłacił 32 grosze? Niech pan je bierze, i sprawa załatwiona".

Listonosz (grzecznie ale stanowczo:) „Nie mogę. Przepis zabrania. Żegnam panią".

Oczywiście pani z temi 32 groszami nikogo na pocztę nie posłała. Ludzie nie mają dziś czasu na stracenie. Wobec czego po upływie półtora miesiąca zjawia się *tenże listonosz*, przedstawia na nowym blankiecie odpowiednie przypomnienie. I na zapytanie pani, czy TERAZ może już przyjąć pieniądze — okazuje się, że owszem, może.

Sprawa zostaje załatwiona w minutę. Pieniądze wpłacone. Abonent jest w porządku.

Ale jak zrozumieć tę kalkulację telefonów?

Warto im pisać i posyłać upomnienia — warto czekać półtora miesiąca na gotówkę, która sama idzie do rąk — i która mogłaby już dawno być w ich kasie? Ale nie warto do odbioru odrazu upoważnić listonosza — TEGO SAMEGO listonosza, który w sześć tygodni później jednak tę samą „sumę" dla tej samej instytucji za ten sam rachunek — wkońcu inkasuje?

Wszystko zrobione tak, aby było kosztowniej, dłużej, niewygodniej — no i bardziej bez sensu...

Nasza służba

Rozmowa między kucharką a pokojową w domu literata:

„I dziwię się tu, panno Marcysiu, że u naszych państwa ciągle krucho z gotówką! Przecież ile razy wejdę do pokoju, pan ciągiem nic nie robi: tylko *albo czyta, albo pisze*. I taki leń ma zarobić?".

— Ech, pani Franciszkowo kochana, mnie to gorzej razi nasza pani. *Codzień się kąpie!* Niech pani Franciszkowa sama pomyśli — jaka ona musi być brudna, jeżeli *musi* się codzień kąpać!".

Autentyczne. Niestety.

„Kobieca intuicja"

Losy bohaterki epoki napoleońskiej, cesarzowej Józefiny — płochej i czarownej kreolki, nie przestają interesować historyków, literatów i czytelników. Ostatnio ukazały się, zebrane przez Jean Hannoteau listy Józefiny do jej syna, Eugenjusza de Beauharnais.

Listy te — jeżeli pisane były szczerze — są dowodem, że wbrew przyjętej opinji, Józefina naprawdę kochała Napoleona. Jej znana lekkomyślność pozwalała na łączenie tego uczucia z mniej lub więcej przelotnemi miłostkami — to już inna sprawa. Ale serce jej cierpiało, gdy dostrzegała mniejszą czułość „boga wojny", a rozkwitało, gdy wracał do niej znowu.

Kiedy w roku 1808 Józefina zachorowała, Napoleon był dla niej pełen względów. Wzruszona, tak pisze o tem do syna: „Cesarz swym niepokojem dowiódł mi w tym wypadku swego przywiązania do mnie. Wstawał w nocy, czasem po 4 razy, aby przyjść do mego pokoju. Od pół roku jest dla mnie bez zarzutu. To też wyjazd jego dzisiaj sprawił mi ból, ale nie daje mi powodów do najmniejszego nawet niepokoju".

Tymczasem Napoleon kierował się w stronę Erfurtu, gdzie wystąpił wobec Aleksandra I, jako pretendent do ręki jednej z rosyjskich księżniczek. W rok potem rozwód Napoleona z Józefiną był rzeczą dokonaną.

Niebotyczny idjotyzm

Rekordy — manja Ameryki — osiągają teraz niespodziewane szczyty głupoty. Już były rekordy obżarstwa, zakończone śmiercią. Rekordy siedzenia na lodowej bryle — zakończone ciężką grypą. Rekordy „smukłej linji" — zakończone suchotami. Ale rekordem rekordów był chyba wyczyn dni ostatnich: dwaj panowie, podobno zdrowi na ciele i umyśle — prali się po buziach przez półtorej doby bez przerwy.

Osiągnęli — „rekord światowy".

„Zwierzęta" — mruknie zniechęcony czytelnik.

Gdzietam! Żadne zwierzę na świecie tak nisko jeszcze nie upadło...

Uparty nurek.

Naiwny optymizm

Ten i ów wyobraża sobie, na zasadzie zręcznie redagowanych komunikatów prasowych, że „motoryzacja" u nas nareszcie się nieco *ruszyła*. No, że przecież jednak w roku bieżącym sprzedano całe... dwa tysiące samochodów! (w 34 miljonowem państwie). Więc niby gorzej nie jest, tylko lepiej.

A jużci.

Otrzeźwia nas wiadomość ze źródła niepodejrzanego: bo z samego Min. Przemysłu i Handlu. Przedrukował ją „Kurjer Polski" — i stąd ją czerpiemy.

Otóż jest tak. Ktoby nie wiedział — tego informujemy, że samochody, aby „same chodziły" muszą spalać — benzynę. Im przeto więcej samochodów w ruchu, tem więcej benzyny spalono. Jasne?

Bardzo. Bo oto spadek zużycia benzyny — *spadek*, nie wzrost— wynosi w mies. wrześniu r. b. całe 6% wobec zużycia zeszłorocznego w tym samym miesiącu.

Przypomina mi się, co mi mawiał mój genjalny włoski szofer: *„Jeżeli benzyna nie stanieje, to będziemy musieli w motorach palić „Acqua Acetosa"*. (Jest takie w Rzymie źródełko mineralne, podobno dobre na żołądek).

Więc jedno z dwojga: albo u nas benzyna jest wciąż jeszcze za droga — i *dlatego* konsumcja jej spada i motoryzacja w dalszym ciągu ledwo zipie.

Albo też — może pocichutku— dokonano u nas jakiegoś wiekopomnego odkrycia naukowego — i rzeczywiście palimy w motorach wodą ze źródełka „Acqua Acetosa"?

Niepokąsany biurokrata

Czy znacie historję francuskiego żandarma?

Tak.

No to posłuchajcie.

Żandarm obchodząc swój rejon, na granicy swej gminy spostrzegł wisielca. Desperat żył jeszcze. Stróż bezpieczeństwa podbiegł doń i wyciągnął nóż, aby przeciąć sznur. Ale nagle zbawcza ręka zawisła w powietrzu. „Sapristi, krzyknął, wisisz na pograniczu, większa część twego ciała zwisa w gminie mego kolegi. Nie mam prawa ingerować, pobiegnę po kolegę „miarodajnego". Wkrótce obaj koledzy nadbiegli razem. Samobójca żył jeszcze, zalotnie się bujając. To było jego nieszczęściem. Wiatr go przenosił ponad linją graniczną. Żandarmi — służbiści nie śmieli przekroczyć kompetencji. Wiedli spór. W górze ktoś coraz bardziej rzęził. Wreszcie nadbiegł przydrożny pastuch. „Do cholery! — krzyknął, — wy się spieracie, a on umiera". Wyjął nóż. Szast, prast — desperat spadł.

Niestety, był już zimny! Formalności ocalono — człowiek umarł.

Do Ubezpieczalni przyszła matka z dzieckiem pokąsanem przez psa. Pamiętamy wszyscy dramatyczne wydarzenia i śmiertelne wypadki wścieklizny w tym roku. Kolega pokąsanego był wśród tych ofiar śmiertelnych. Zrozumiałe więc było zdenerwowanie matczyne. Przyszła po kartkę do lekarza.

— Gdzie książeczka? — padło pytanie z „za okienka".

Zdenerwowana pani Walczakowa zaczęła szukać w torebce, w kieszeniach, książeczki nie było, zgubiła ją w drodze.

— Nie dam kartki — grzmiało „okienko". „Trzeba dać ogłoszenie o zgubie, wyrobić nową książeczkę".

„Ależ, panie, błagała matka, to był może wściekły pies. Tu każda chwilka może stanowić o życiu!".

Nie pomogły prośby, żale, perswazje, łzy. „Okienko" miało formalną rację. Wówczas pani Walczakowa nie wytrzymała. Ubezpieczelnia zatrzęsła się od „życzeń"... wypowiedzianych pod adresem biurokraty. W rezultacie sprawa. Wyrok łagodny. Siedem dni aresztu z zawieszeniem za obrazę urzędnika na służbie.

A gdyby dziecko umarło? Gdyby formalistyka dała tragiczny rezultat? Czy i wówczas urzędnik byłby...obrażony? Wyrok był słuszny. Ale trzeba go uzupełnić. Uzupełnić winna go władza ubezpieczalni. Biurokrata - formalista miał takie proste wyjście — dać kartkę prowizorycznie. Gdyby matka kłamała, można ją było pociągnąć do odpowiedzialności. Można było później dać dużą karę pieniężną. Ale nie wolno było ryzykować życia pokąsanego. Takiego paragrafiarza Ubezpieczalnia winnaby zawiesić nie na 7 dni, ani na siedem miesięcy, ale wogóle.

Urzędnik powinien myśleć. To też jest potrzebne do urzędowania.

„Warszawiaczek ci ja"

Pod tym tytułem Raort, feljetonista Raort w I. K. C. opisuje swe wrażenia z dancingu. Poszedł pan Raort na dancing w Warszawie. Tam spotkał jakiegoś młodzieńca, z całego opisu sądząc niebieskiego ptaka, czy poprostu dancingowego golca. W przeciwieństwie do tego hołysza bez grosza, feljetonista I. K. C. jest napęczniały forsą. Wolno mu to. Tem lepiej dla niego.

Dyskusja. Zapoznanie się. Pan Raort wytwornie nabiera i bierze na fundusz owego dancingowego chłopaczka. Dlaczego nie. Bawi się.

Szumi Raort w stolicy.

Zapoznajemy się z rozmową i żarcikami dwuch niewybrednych panów. Niema powodu do oburzania się. Ale pointą tego wszystkiego jest przeprowadzenie całego feljetoniku tak, aby uzasadnić tytulik.

Niebieskie ptaki, golce dancingowe czyhające na fundę są i w Warszawie i w Paryżu i zapewne nawet w Krakowie. Ale oblatany pan Raort woli ten właśnie typek nazwać „warszawiaczkiem" — to tak lepiej wygląda. Takie antywarszawskie równanie: dancingowy nabieracz — to warszawiaczek ci ja.

Warszawiacy dotąd ze stołeczną pobłażliwością patrzyli na to zamiłowanie do obabrywania stolicy, przeżyjemy i to, ale możeby tak otworzyć statystykę tych i innych raortad.

Obywatel Zero.





ŚWIATŁA WARSZAWY

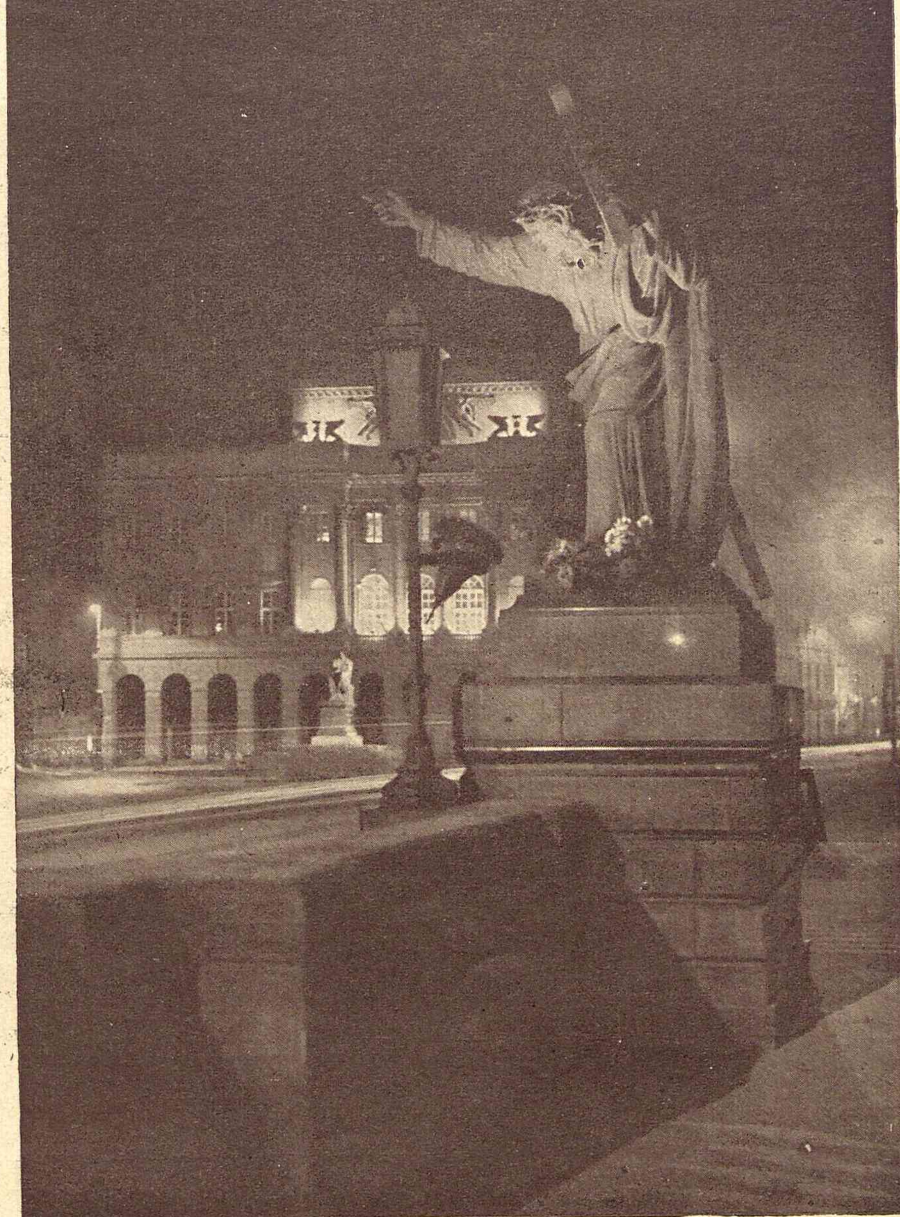
(Zdjęcia St. Plater - Zyberk)

Zdjęcie górne na lewo — dekoracyjna fontanna w Saskim Ogrodzie na tle oświetlonej kolumny Nieznanego Żołnierza.

Zdjęcie dolne na lewo — pomnik Mickiewicza w niezmiernie oryginalnem ujęciu.

Zdjęcie górne na prawo — Chrystus przed Kościołem Ś-go Krzyża, na tle efektownie oświetlonego Pałacu Staszyca.

Zdjęcie dolne na prawo — Teatr Wielki wraz z pomnikiem Wojciecha Bogusławskiego, w fantastycznem oświetleniu, które podkreśla piękno i harmonję Teatru Wielkiego.





Z inicjatywy obecnych władz miejskich Stolicy zaczęto stosować w niektóre dni uroczyste specjalne oświetlenie gmachów, pomników i fragmentów architektonicznych Warszawy. Mieszkańcy Stolicy — tembardziej przyjezdni — z wielkiem zainteresowaniem poznają nowe piękno, które nam w ten sposób ujawniono.

Inicjatywa ta z punktu widzenia szerzenia zamiłowania do piękna własnego miasta wydaje się bardzo celowa — czego najlepszym dowodem może być fakt, że i stolice zachodniej Europy zaczęły ostatnio stosować w szerokim zakresie ten rodzaj specjalnych oświetleń. Wielki nacisk położono na to np. w Rzymie, a i Paryż w ostatnich czasach coraz hojniej szafuje światłem dla uwydatnienia piękności „Ville Lumière"

Mistrzowskie zdjęcia Stefana Platera, które na tych stronach zamieszczamy, ukazują kilka nastrojowo oświetlonych fragmentów stolicy. Niezwykłe walory plastyczne i emocjonalne wydobył artysta w każdym z tych tematów, tworząc serję cennych dzieł sztuki fotograficznej na temat — „Świateł Stolicy".



Z TEATRÓW STOŁECZNYCH

TEATR MAŁY

„Lato w Nohant", komedja w 3 aktach J. Iwaszkiewicza. Reżyserja E. Wiercińskiego, kostjumy Zofji Węgierkowej, dekoracje S. Śliwińskiego.

Przedziwny romans Chopina i George Sand stanowi niezwykle wdzięczny temat literacki. Zużytkowała go zresztą skwapliwie i bez skrupułów sławna powieściopisarka, kiedy się z polskim genjuszem muzycznym rozstała. Ale w ujęciu scenicznem widzimy tę dziwną historję po raz pierwszy.

Rzecz jest tem ciekawsza, że stanowi zarazem debiut sceniczny Jarosława Iwaszkiewicza, którego dotychczas znaliśmy jako powieściopisarza i poetę. Nawet dla ludzi nieznoszących tamtej twórczości Iwaszkiewicza, debiut ten jest niemal rewelacją, — że użyjemy tego wytartego jak liczman słowa. Bo „Lato w Nohant" jest nietylko sztuką pełną subtelności psychologicznych, logicznie skonstruowaną, interesującą w sytuacjach i djalogach. Komedja ta odznacza się pozatem w polskiej twórczości lat ostatnich wysokim poziomem kulturalnym i nienagannym stylem. Nadewszystko zaś posiada coś, co mają tylko utwory sceniczne wysokiej klasy: ma własną atmosferę.

Dom w Nohant...

Właściwie w pierwszym akcie nie kto inny, tylko ten dom, jego atmosfera stanowią przedmiot zainteresowania autora. Mistrzowsko przesuwa on przed naszemi oczami liczne — a jakże nieskharmonizowane — postacie mieszkańców tego domu. Przedewszystkiem jego władczyni — słynna wówczas pisarka—autorka wielu romansów napisanych i bohaterka wielu romansów — przeżytych, dobrze już dojrzała, matka dorosłych dzieci, ale ciągle jeszcze płomienna George Sand. Tę kobietę niełatwo zrozumieć — tak jest niejednolita. Iwaszkiewicz nam mówi, że była dość inteligentna, aby swym talentem i pracą zdobyć niezwykłe wówczas powodzenie — (sławę wszechświatową i wieczną, jak naiwnie przypuszczała). Ale jednocześnie nie dość lotna, aby odczuć wielkość genjusza, który przy jej boku spędził lat dziewięć. Niezdolna usłyszeć ani niezwykłości jego muzyki, ani wibracji jego duszy. Ileż na tem tle nieporozumień!



Marja Przybyłko - Potocka mistrzowsko odtwarza skomplikowaną indywidualność George Sand.
fot. St. Brzozowski.

Kobieta-matka, kochająca głęboko swoje dzieci, nie rozstająca się z niemi nigdy — (słynna podróż na Majorkę, w początkach jej stosunku z Chopinem, odbyła się, jak wiadomo, w dość zbędnem towarzystwie kilkunastoletniego Maurycego i kilkuletniej Solange...). A jednocześnie kobieta nie wyrzekająca się dla tych dzieci żadnej ze swych słabostek, kobieta dająca we własnym domu dorastającym i dorosłym dzieciom przykład zupełnej „wolności obyczajów". I potem ta sama kobieta — w stosunku do własnej córki — stosuje znów inne kryterja: kiedy Solange, zakochana beznadziejnie w Chopinie, oddaje się brutalnemu Clésingerowi, wówczas matka — ta właśnie matka — wypędza ją z własnego domu... Nie, już chyba konsekwencji szukać w życiu pani Sand nie należy.



Z. Ziembiński z wielką dyskrecją odegrał rolę Chopina. fot. St. Brzozowski.

Wejdźmy na chwilę do tego domu w Nohant. Słoneczne lato w słodkiej Francji. Duża posiadłość wiejska, której administracja i kłopoty finansowe obarczają tę jedną kobietę. Pióro George Sand zarobić musi tyle, żeby posiadłość Aurory Dudevant nie przeszła w obce ręce. Zdawałoby się, że mając tyle pracy — i to pracy tak bardzo różnorodnej — ta kobieta potrzebuje skupienia. Trochę spokoju, ciszy. Zwłaszcza, że i przyjaciel jej, Chopin, wrażliwy jest niezmiernie na atmosferę, która go otacza. Tymczasem... Dom w Nohant to już nie pensjonat, ale niemal hotel.

Goście — hałaśliwi, ruchliwi, rozbiegani — grasują po wszystkich jego zakątkach, mącąc spokój nietylko fizyczny, ale i duchowy. Każdy z nich wnosi jakieś własne powikłania uczucio-

we. Maurycy uwodzi zakochaną w nim kuzynkę, której znów oddał swe serce młody malarz, Rousseau. Solange kocha Chopina, nie uświadamiając sobie tego, a kiedy jej tę prawdę odsłania własna matka, dziewczyna doznaje natychmiast dwu głębokich wstrząsów. Pani Sand zwierza córce „tajemnicę": że już od siedmiu lat nie jest kochanką Chopina — (dość oryginalny rodzaj zwierzeń między matką a córką) — ale jednocześnie pozbawia Solange wszelkich złudzeń: Chopin nie będzie nigdy jej mężem. Bo Chopin nie jest materjałem na męża. Chopin nie jest wogóle nawet materjałem na kochanka. Chopin nigdy nie przejmuje się do głębi kobietą. Dla niego sprawą jedynie ważną, sprawą ponad wszystkiem na świecie jest — muzyka. I Solange z sercem złamanem ulega — niebardzo wiadomo dlaczego — silnemu i dość prostackiemu rzeźbiarzowi Clésingerowi.

Każdy gość domu w Nohant ma jakieś rozterki wewnętrzne. Przyjaciel lat dziecinnych Chopina, Antoni Wodziński, (brat ukochanej z lat młodzieńczych) wiecznie w tarapatach finansowych, łatanych pożyczkami od przyjaciela i wygranemi w karty. I panna Rosières, zakochana w nim ogromnie i szczebiotliwie, ale dość jednak trzeźwo. I mazgajowata Augustynka, wychowanica pani Sand, rzewnemi łzami usiłująca przy sobie zatrzymać płochego kochanka. I Fernand, syn bogatego sąsiada, młody, piękny i bogaty, składający u stóp kapryśnej Solange swe serce i majątek — odepchnięty, licho wie czemu. I nawet Madeleine, wiejska służąca, przyjęta na życzenie Chopina, i z uporczywie tajemniczą minką nosząca panu Chopinowi buljonik do salonu, gdzie nikomu wejść nie wolno... Ileż tu tajemnic i splotów uczuciowych!

Ukazał je i powikłał autor w sposób znakomity. Rozwiązał potem to wszystko nieco słabiej. Akt ostatni, w którym przez cały czas wnoszą i wynoszą walizki, a ubrane do drogi osoby wchodzą i wychodzą kolejno, przyczem sceny pożegnania dłużą się cokolwiek — zdradza pisarza, który jeszcze nie jest mistrzem sceny. Ale to może i lepiej: gdyby od pierwszego razu dał arcydzieło bez skazy — czegożbyśmy potem od niego wymagali?

To, co nam dał teraz — jest już czemś więcej jak tylko znakomitą robotą sceniczną, czy szeregiem doskonałych scen, z których każda maluje świetnie epokę i środowisko. Na tle tej epoki i tego niezwykłego, pełnego kontrastów środowiska, sportretował Iwaszkiewicz galerję indywidualności, z któremi sprawa była tem trudniejsza, że były to przecież postacie historyczne, które każdy z nas znał doskonale skądinąd. Autor był więc podwójnie związany: prawdą historyczną, i tem przygotowaniem widza do wątku faktycznego, który zamierzał ukazać. Mógł bardzo łatwo wpaść w suche, szablonowe odtwarzanie znanych z listów i pamiętników wypadków i powiedzeń — a wtedy historji hołd byłby może złożony — ale sztuki by nie było. Tymczasem Iwaszkiewicz wgłębił się w życie tych ludzi nie od strony wydarzeń, ale od strony uczuć. I dał w tem ujęciu sylwetki naprawdę mistrzowskie. Przyznać trzeba, że znalazł świetnych odtwórców, którzy pod bardzo inteligentną, dyskretną reżyserją Wiercińskiego wydobyli wszystkie zamierzenia autora.

Przedewszystkiem Marja Przybyłko-Potocka. To nie była odegrana rola — to było samo życie. Po scenie nie chodziła znana nam wszystkim artystka, lecz pani George Sand we własnej osobie. Pierwsze ukazanie się artystki w stroju męskim do konnej jazdy — powitano burzą oklasków. Oto krokiem energicznym, ze szpicrutą w ręku, z krótko obciętymi włosami weszła George Sand — tak, jakby zstąpiła z portretu. I potem już nie mogliśmy od niej oderwać oczu. Ileż odcieni, ile fi-



Decydująca rozmowa między słynnymi kochankami — Chopinem i George Sand.
fot. St. Brzozowski.

nezji wydobyła znakomita artystka z tej postaci... Mam podejrzenie, że wzbogaciła indywidualność sławnej pisarki o całą głębię własnej wrażliwości, o całe bogactwo własnego serca. Każde słowo, każde spojrzenie, każdy ruch — były nieomylne i jedyne.

Chopin w interpretacji Ziembińskiego miał świetną maskę i doskonałe z początku oderwanie od spraw tego świata. Potem — jako że i genjusz jest tylko człowiekiem — przyszły przebłyski komiczne, burzliwe irytacje o udko kurczęcia i szalone piekło o kamizelki flanelowe, które ośmielono się zapakować razem z jedwabnemi... Taki zdaje się był naprawdę w życiu ten muzyk niedościgły w doskonałości swej sztuki. Artysta bardzo dyskretnie zaznaczał te fantastyczne przejścia nastrojów, i dzięki temu nie pokazał na scenie martwego posągu genjusza, lecz pulsującego życiem prawdziwego, często dla otoczenia niezrozumiałego człowieka.

Z ról pozostałych na plan pierwszy wysunęła się Nina Andryczówna. Solange — napół dziecko jeszcze, a napół już uświadomiona i nawet rozwydrzona panica — nie jest rolą łatwą. Jest w niej głęboki liryzm, a zarazem jakiś wzgardliwy, rozczarowany stosunek do życia. Jest pokora wobec Chopina i bezczelność wobec matki, którą zna i sądzi bezwzględnie. Jej rozmowa z George Sand w drugim akcie — rozmowa, w której córka matce wyrzuca jej tryb życia i jej stosunek do dzieci — byłaby i dziś jeszcze rozmową conajmniej... drastyczną między matką a córką. Solange jest bardzo — nowoczesna. Połączenie tej nowoczesności z romantycznością przeprowadziła Andryczówna bardzo subtelnie.

Pozostali artyści dobrze odegrali swe role. Możnaby tylko zakwestjonować trafność obsady w dwóch wypadkach: rozświergotaną „Rozjerkę" dano do zagrania Zofji Grabowskiej — zapewne dlatego, że jest bardzo ładna. Ale pominięto tu wrodzoną skłonność tej artystki do ról głębszych, w których dać może coś więcej, niż tylko zalotne uśmiechy. Drugi błąd, to obsadzenie Kreczmara w roli Fernanda. Kreczmar ze swą zdobywczą urodą w roli młodzieńca bogatego, szlachetnego i w dodatku do nieprzytomności zakochanego — grał właśnie tego, któremu dano kosza! Na widowni panowała konsternacja: niby czemu go odpaliła, a wybrała gburowatego, zadłużonego, niesolidnego i dość mało ponętnego Clésingera?

Kostjumy komponowała Zofja Węgierkowa. Czy trzeba jeszcze dodawać zwykłą w takim razie serję superlatywów? Są wprawdzie recenzenci, którzy skłonni są uważać kostjum za coś mniej ważnego niż dekoracja, niż gest i niż słowo. Jeżeli jednak zgodzimy się, że teatr daje nam nietylko wrażenia słuchowe, ale i wzrokowe — uznać trzeba kostjum za czynnik pierwszorzędny, tak jak to już nareszcie uznano dla dekoracji. Kostjumy Węgierkowej są syntezą wielkiego talentu, wytwornego smaku, głębokiej kultury i wyczucia kształtu i koloru. Jak to już niejednokrotnie podkreślałam, artystka celuje w stwarzaniu kompozycji kolorystycznych przez grupowanie osób ubranych w barwy harmonizujące. Stwarza to przez cały czas spektaklu niebywałą przyjemność dla oczu, dając ciągle płynne, ciągle nowe piękno w miarę przegrupowywania postaci na scenie. Jesteśmy znowu pod czarem krynolin, kapeluszy w kształcie budki, i powiewnych a bufiastych rękawów. Zofja Węgierkowa nie zna w historji kostjumu epoki nieestetycznej. Artystka w każdej epoce i w każdym stylu tworzy rzeczy piękne, harmonijne i inteligentnie wtopione w nastrój dzieła scenicznego.

Dekoracje Śliwińskiego — poprawne. *Z. N. Ch.*

TEATR LETNI

„Żołnierz królowej Madagaskaru", krotochwila muzyczna Juljana Tuwima. Reżyserja Warneckiego. Dekoracje i kostjumy Daszewskiego.

Dziadowie nasi chodzili na naiwną ale podobno zabawną farsę Dobrzańskiego „Żołnierz królowej Madagaskaru". Nasze pokolenie lubi się tamtym czasom przyglądać — Teatr Letni uznał więc za wskazane pokazanie publiczności warszawskiej, jak to in illo tempore bywało. Przypuszczano jednak widocznie, że w swej może nieco mdłej formie oryginalnej farsa ta nie zabawi już dzisiejszego pokolenia, przywykłego do ostrzejszych przypraw. Dlatego przepitraszono ją według smaku wieku XX-go, a spreparowanie tej kulinarnej metamorfozy powierzono niebylekomu: jednemu z najdowcipniejszych ludzi w Polsce — Tuwimowi.

W tem miejscu zaznaczyć wypada, że znakomity poeta Juljan Tuwim nie ma nic wspólnego z doskonałym satyrykiem, Juljanem Tuwimem. I że oczywiście żadne, najgłębsze nawet wzruszenia, doznane dzięki poecie, nie mogą w najmniejszej mierze wpływać na sąd o pracach satyryka. Tuwim-satyryk dostarczył już nieprawdopodobne mnóstwo świetnych rzeczy — tem szczerzej zatem odrazu stwierdzić można, że tym razem jego występ wypadł znacznie poniżej jego możliwości. Czy farsa Dobrzańskiego w oryginale była śmieszna — nie wiem. Nie widziałam jej nigdy na scenie. Ale że krotochwila Tuwima jest nudna — to niestety wiem. I jest to pierwszy grzech śmiertelny tego eksperymentu teatralnego.

Akcja płynie za wolno, gadaniny jest „bardzo wiele za wiele" — a dowcipów — tych słynnych ciętych tuwimowskich dowcipów — o wiele za mało. Ten płód zrodzony z Tuwima i Dobrzańskiego wydaje mi się jednym z najbardziej poronionych niemowląt teatralnych ostatnich czasów. Objektywnie jednak, „dla ścisłości kronikarskiej", stwierdzam jednocześnie, że publiczność żwawo oklaskiwała sztukę, że „rozbrzmiewały wybuchy śmiechu" — i że zdawano się bawić dobrze. Czem? - to dla mnie pozostało tajemnicą.

Drugim grzechem śmiertelnym tego spektaklu są kostjumy i dekoracje. Mówi się: „groteska". Doskonale — to nawet bardzo ciekawy i trudny genre w sztuce. Ale groteska — to jeszcze nie znaczy cyrk. Dzisiejsza publiczność reaguje i na efekty znacznie wytworniejsze w grotesce. Nie potrzeba jej rozśmieszać aż dolepianiem potwornych nosów pięknym artystkom, ani koszmarną w swej przesadzie brzydotą wnętrz i strojów. Epoka była śmieszna, była bezstylowa — wiemy to doskonale. Ale jak można jej śmieszność podkreślić z finezją i dowcipem — tego prześlicznym przykładem było przed trzema laty niezapomniane, genjalne przedstawienie „Klubu kawalerów" Bałuckiego w dekoracjach i kostjumach Z. Węgierkowej, w reżyserji A. Węgierki. Tam był w ironji wykwint i słuszne liczenie na to, że widz dzisiejszy pozna się i na najwyższym gatunku komizmu. Tutaj — jest już poprostu walenie widza pięścią w łeb, bezlitosne zmuszanie go do patrzenia przez trzy godziny na rzeczy z punktu widzenia estetycznego wręcz potworne.

Jeżeli kiedyś kabaret „Cyrulik" osiągnął huragany śmiechu jednym żywym obrazem, w ten właśnie sposób ujmu-

jącym „żywą fotografję“ z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku — to było zrozumiałe. W maleńkiej dozie, przez parę minut — widok taki może rozśmieszać do łez. Ale ten sam efekt ciągnący się przez parę godzin — staje się chińską torturą, dla wrażliwszego widza trudną do wytrzymania.

Reżyser miał trudne zadanie. Jak tu ozdobnie zahaftować kanwę tak niewykwintną? J. Warnecki w dodatku jest par excellence aktorem ściszonych uczuć, wymownych milczeń, dyskretnych cierpień. I temu człowiekowi, jakby dla ironji, powierza się prowadzenie poczciwej drewnianej budy, przeznaczonej na teatr rozrywkowy. Jemu — który wydaje się właśnie najmniej obdarzony zmysłem komizmu...

To też stało się, to, co się stać musiało. Ponieważ ze sztuki naprawdę niewiadomo było co zrobić — puszczono w ruch wszystkie efekty „na całego“. Na scenie panował wrzask, rejwach, aktorzy wzięli odrazu ton fortissimo zarówno w słowie jak w geście. Wyłazili ze skóry, aż żal było patrzeć. Bo tak mało mogli uratować z tego, co właściwie było nie do uratowania. Mazurkiewicza „Bój się Boga“ grał Maszyński ze szlagońskim, rasowym rozmachem, który mu tak łatwo przychodzi. Dał z siebie wszystko — w niektórych gestach i intonacjach był nieporównanie komiczny. Ale go poprostu szkoda do tej roli. Zimińskiej — świetnej parodystce — dano za mało pola do popisu w piosenkach z owej epoki. Było ich zaledwie parę — a reszta roli, „słowo mówione prozą“ — tylko dzięki świetnej grze Zimińskiej nabierało cech czasem zabawnych. W rolach pozostałych wyróżnili się szczerym komizmem Karczewski jako stary lokaj i jako dandys, oraz Borowy w roli niesfornego Kazia i młodego eleganta warszawskiego. Panie Macherska, Gellówna i Żabczyńska nielitościwie i niepotrzebnie zostały oszpecone. Grały z ożywieniem, tak jak cała reszta zespołu — z tem ożywieniem, którem usiłowano zastąpić nieistniejące walory komiczne sztuki.

Z. N. Ch.



„Szampańska bibka“. Od lewej: Wierzejska, Zimińska, Maszyński, Borowy.
fot. St. Brzozowski

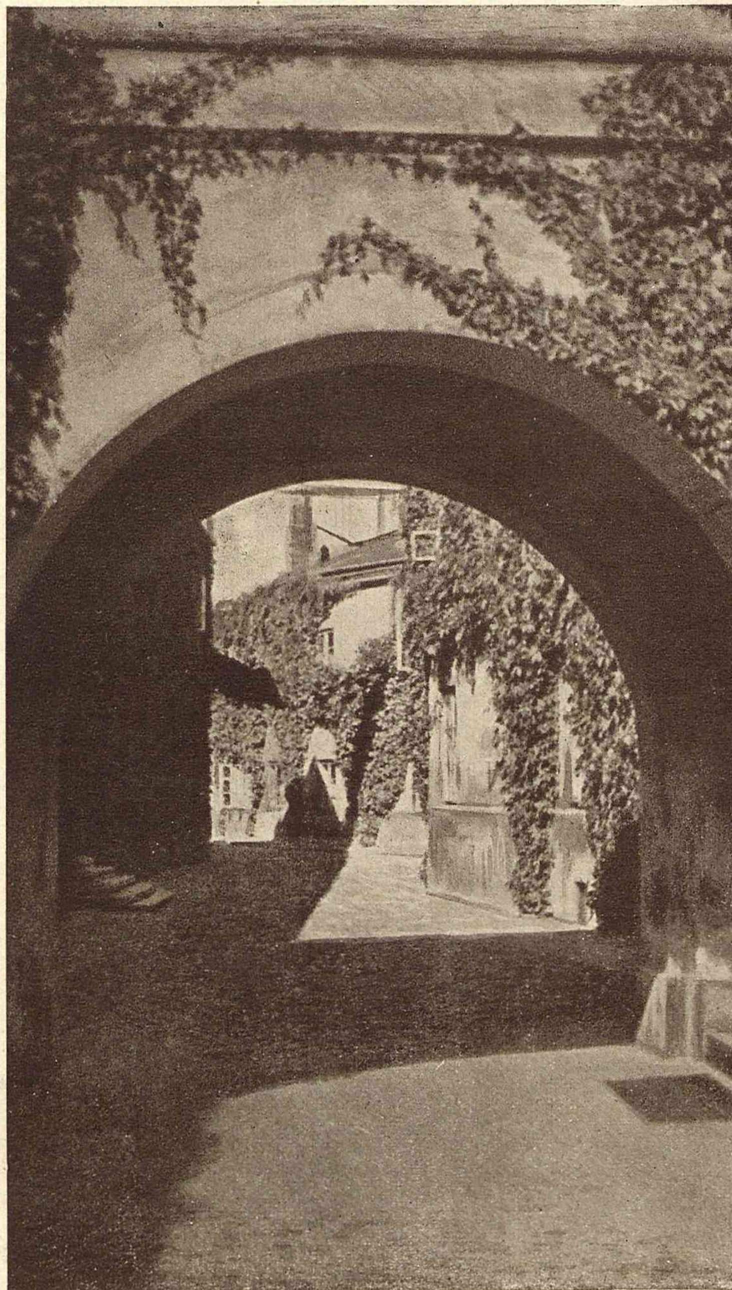


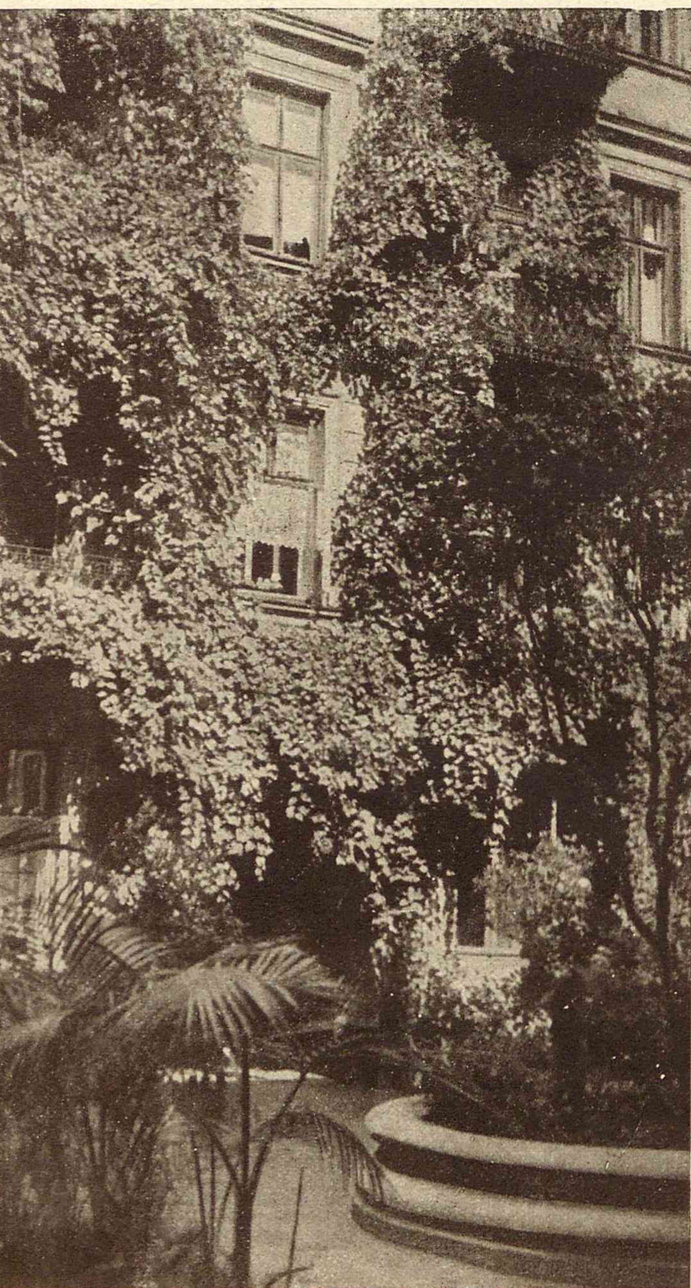
Walczyk z epoki naszych dziadów. Maszyński i Żabczyńska.
fot. St. Brzozowski



Trzy gracje z epoki turniury. Żabczyńska, Macherska, Gellówna.
fot. St. Brzozowski

NOWE HASŁO STOLICY: WARSZAWA W KWIATACH





Prezydent St. Starzyński rzucił nowe dla Stolicy hasło: Warszawa w kwiatach!

Przy dobrej woli i wytrwałych staraniach nawet dziedzińce mogą być piękne, jak ogrody. Nasze zdjęcie powyżej przedstawia dziedziniec Ministerstwa Ralnictwa, zaś zdjęcie obok — podwórze zwykłej kamienicy czynszowej przy ul. Złotej 32, zamienione staraniem mieszkańców na uroczy ogródek.

Fot. dr. T. Przypkowski

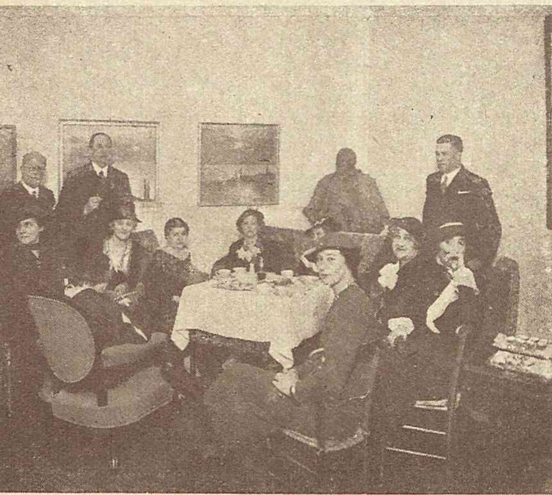
ŚWIAT PANI



NINA GRUDZIŃSKA,
CZARUJĄCA ARTYSTKA,
NAJPIĘKNIEJSZA PANI
WARSZAWY,
W PIĘKNEM FUTRZE, WYKONANEM U P. UJEJSKIEJ
PRZY NAJNOWSZYM SAMOCHODZIE „SKODA-RAPID"
MODEL 1936.

fot. Bil.

POD ZNAKIEM PRACY ZAWODOWEJ



Grupa działaczek zebranych w Międzynarodowym Klubie w Budapeszcie wśród nich delegatki polskie, p. Anna Paradowska-Szelągowska i p. M. Żerańska

Kobiety pracujące całego świata organizują się

Hasło dały Amerykanki. Najbardziej przedsiębiorcze, pracujące w kilkuset zawodach, dobrze zarabiające, zrealizowały praktycznie inicjatywę zorganizowania się dla obrony i popierania swej sytuacji na rynku pracy. Organizacja ma formę klubów, jest bezpartyjna i apolityczna, obejmuje kobiety, pracujące w zawodach handlowych, przemysłowych, wolnych, artystycznych, urzędniczych — a co daje pojęcie o jej szerokiej platformie — konsoliduje zarówno właścicielki firm, jak i pracownice najemne.

Bardzo szybko Federacja Stanów Zjednoczonych i Kanady przekształciła się w międzynarodową organizację „International Federation of Business and Professional Women", po paru latach sięgnęła z za Oceanu do Europy, gdzie stworzono nawet specjalny sekretarjat, organizujący filje na kontynencie europejskim. Obecnie Federacja Amerykańska liczy ponad 60.000 członkiń i około 1.500 klubów, europejska ponad 20.000 członkiń. W gronie kobiet pracujących 21 państw świata, organizacja polska tworzy komórkę stosunkowo młodą, istniejącą dopiero od trzech lat i wypracowuje własne formy organizacji i działania, odpowiednie do istniejących u nas warunków.

Polskie Zjednoczenie Kobiet pracujących zawodowo

Nawiązawszy porozumienie z „International Federation of Business and Professional Women", polskie kobiety pracujące utworzyły w Warszawie organizację, afiljowaną do federacji międzynarodowej pod nazwą „Polskie Zjednoczenie Kobiet Pracujących Zawodowo". Wśród założycielek były przedstawicielki różnych zawodów, handlowczynie, dziennikarki, lekarki, prawniczki, artystki, literatki, kosmetyczki. Obecnie organizacja posiada szereg sekcyj zawodowych i komisyj specjalnych, przystąpiła też do przeorganizowanej Rady Narodowej Polek, będącej reprezentacją polskich organizacyj kobiecych wobec zagranicy.

Zanim organizacja tego typu, co „Zjednoczenie", pozapartyjna i apolityczna, oparta o zasadę samopomocy i obrony interesów kobiet pracujących, ogarnie szerokie masy pracownic — Zarząd Główny realizuje już obecnie szereg zadań konkretnych, w rozwijającym się stale Klubie Warszawskim. W innych miastach przygotowuje się otwarcie oddziałów prowincjonalnych, wśród których już powstał jako pierwszy — oddział w Krakowie.

Wieczory klubowe

O intensywności życia w „Polskiem Zjednoczeniu Kobiet Pracujących Zawodowo" w Warszawie świadczy liczba 39 zebrań w ciągu roku ostatniego, w czem 23 zebrania sekcyj i komisyj, 8 zebrań klubowych ogólnych i 8 Zarządu.

Na zebraniach klubowych, odbywających się w lokalu na Krakowskiem Przedmieściu 58, a niezwykle różnorodnych pod względem treści, gdyż biorą w nich udział kobiety najrozmaitszych zawodów, gromadzą się członkinie na dyskusje i zebrania towarzyskie. Obok odczytów, audycje muzyczne i literackie, pokazy zawodowe budzą powszechne zainteresowanie i przyczyniają się do wytworzenia koleżeńskiego nastroju.

Raz do roku, w lutym, odbywa się uroczysty „Wieczór Międzynarodowy", którego data jest wspólna dla wszystkich organizacyj afiljowanych do „International Federation of Business and Professional Women" we wszystkich krajach.

W obronie prawa do pracy

Momentem wystąpienia „Polskiego Zjednoczenia" z energiczną akcją w gronie 10-ciu centralnych organizacyj kobiecych, stała się w roku ubiegłym sprawa projektów wydania dekretu, ograniczającego prawa kobiet zamężnych do pracy zarobkowej.

Akcja organizacyj kobiecych, a zwłaszcza interwencja „Zjednoczenia", podjęta u najwyższych czynników państwowych, powstrzymała zakusy zwolenników dekretu.

Twórczość kulturalna i wytwórczość przemysłowo-handlowa

Konkretne poczynania „Polskiego Zjednoczenia Kobiet Pracujących Zawodowo" dadzą się podsumować w kilku interesujących wystąpieniach. A więc w dziedzinie kulturalnej: udział polskich artystek - plastyczek w Międzynarodowej Wystawie kobiecej w Amsterdamie w roku 1933, zorganizowanie w Warszawie w salach Instytutu Propagandy Sztuki II-ej Międzynarodowej Wystawy Plastyczek w roku 1934, co stało się dużą propagandą Polski i twórczości Polek na terenie międzynarodowym. Dalej koncerty, poświęcone twórczości kompozytorek polskich, dawnych i współczesnych, wieczory literackie, odzwierciadlające różne rodzaje twórczości kobiecej, z udziałem najwybitniejszych autorek i artystek słowa, oraz konferensjerki.

W dziedzinie wytwórczości gospodarczej odbyły się staraniem Zjednoczenia pokazy kosmetyczne, oraz mód.

Komisja handlowa pracuje nad nowymi projektami poparcia wytwórczości kobiet. Wykonano pracę przygotowawczą, między innemi także spis firm kobiecych, zarejestrowanych w Warszawskiej Izbie Przemysłowo - Handlowej, uzyskując tą drogą ciekawe informacje o gospodarczej działalności kobiet w stolicy.

Powołana niedawno komisja Budowy Własnego Domu daje impuls do szeregu wystąpień, z których jedno odbędzie się w dniach najbliższych.

Polska wśród federacji świata

W wielkim Kongresie kobiet pracujących „International Federation of Business and Professional Women", odbytym w lecie w Paryżu, wzięła udział delegacja „Polskiego Zjednoczenia". Kongres miał wielki rozgłos, był niezwykle gorąco podejmowany przez Paryż, zgromadził wiele wybitnych kobiet. Specjalne owacje zgotowano pani Frances Perkins, ministrowi pracy Stanów Zjednoczonych, która wzięła czynny udział w kongresie i wygłosiła przemówienie, transmitowane przez radio, a podkreślające działalność kobiet i wpływ ich, jako *czynnika międzynarodowego pokoju.*

W wyborach międzynarodowych władz Federacji powołano do Sekretarjatu przedstawicielkę Polski w osobie pani Anny Paradowskiej - Szelągowskiej, przewodniczącej „Polskiego Zjednoczenia Kobiet Pracujących Zawodowo". Na czele Federacji Międzynarodowej pozostała nadal p. Lena Madesin Phillips ze Stanów Zjednoczonych.

KOBIETY MÓWIĄ O SWEJ PRACY



DZIAŁACZKA SPOŁECZNA

p. A. Paradowska-Szelągowska

Pani Anna Paradowska Szelągowska, przewodnicząca Zjednoczenia Kobiet pracujących zawodowo, członek prezydjum Zarządu Międzynarodowej Federacji Kobiet pracujących Zawodowo, mówi nam o tej dziedzinie działalności kobiecej, która jest jej najbliższa.

Praca społeczna — mówi nam znana działaczka, to dziedzina, którą gorąco ukochałam i od wczesnej bardzo młodości jej służę, — a służąc jej, poświęcam swe najlepsze starania i wysiłki, wzamian zaś zawdzięczam pracy społecznej najbardziej godne uwagi wartości i najdonioślejsze przeżycia.

Ale do pracy społecznej należy podchodzić z głęboką miłością i szczerą bezinteresownością. Jest ona źródłem prawdziwych radości dla tych, którzy oddają się jej ze szczerym umiłowaniem. Bywa ona jednak powodem głębokich zawodów dla tych, którzy szukają w niej pretekstu do awansów, stanowisk, odznaczeń i karjer.

To też w pracy społecznej najbardziej unikać należy współpracy z osobami, osobiste korzyści mającymi na widoku; przejęte własnym interesem nie tworzą one istotnego dobra, natomiast wnoszą rozdźwięki, stając się przeszkodą w rzetelnej pracy.

PRAWNICZKA

p. Zofja Szulcowa

Pani Zofja Szulcowa należy do młodego pokolenia prawniczek, do tych, które stanowią jedne z pierwszych chronologicznie adwokatek polskich.

Obecnie zakres jej pracy został rozwinięty, pani Szulcowa bowiem pełni urząd jednego z doradców prawnych magistratu, poświęcając tej pracy znaczną część swego czasu.

Zapytana przez nas o rodzaj swego zajęcia, p. Szulcowa odpowiada z zapałem i niemal z entuzjazmem: „Moje zajęcia obecne w zarządzie miejskim dają mi wiele zadowolenia. Tyle właśnie, ile daje praca, świadcząca o tem, że jest pożyteczna i że jej zasięg może się rozwijać. Jako obrońca - adwokat w praktyce prywatnej walczyłam i walczę o mego klijenta, o jego prawa. Skoro jednak klijentem moim, tak jak obecnie, jest gmina, to czuję, iż działam nietylko jako obrońca, ale również jako administracyjny działacz samorządowy, przyczyniający się do usprawnienia całego aparatu. Uważam za niesłychanie mądrą i praktyczną inicjatywę, przydzielania do poszczególnych działów samorządów radców prawnych. My adwokaci mamy w wielu sprawach odrębne podejście do zagadnień, niż urzędnicy nawet doświadczeni, a przez wprowadzenie kategorji cywilno-administracyjnych możemy ułatwiać i upraszczać działanie magistratu. Teraz, gdy bronię interesów gminy, a więc łącznego interesu obywateli, mam świadomość rozszerzenia mych funkcyj i odpowiedzialności.

— A co w tej pracy najwięcej pani lubi?

Lubię jej rozległość i świadomość, że przyczyniam się do usystematyzowania wielu kwestyj. Oczywiście sprawy związane ze sztuką i oświatą najwięcej mnie interesują. Zresztą wie pan dobrze, że sztuka była dla mnie zawsze największym zainteresowaniem po mej pracy zawodowej.

— No a gdyby pani nie była prawniczką, gdyby pani musiała zmienić zawód, czem by pani chciała być?

„Tylko dziennikarką“ pada zdecydowana, wykluczająca wahanie, odpowiedź.

DEKORATORKA

p. Zofja Węgierkowa



Zawód dekoratorki teatralnej zdobyły kobiety dopiero w ostatniem pokoleniu. Zwracamy się do jednej z nich, Zofji Węgierkowej, która zajmuje w Polsce wśród artystów-dekoratorów teatralnych miejsce czołowe, a jako twórczyni kostjumów jest jednym z najwybitniejszych talentów w Europie.

Na zapytanie, co w swym zawodzie specjalnie lubi — artystka odpowiada z przekonaniem: „Lubię w nim wszystko! Pracuję z pasją. Nie mam już wcale właściwie życia prywatnego — bo nie mam na nie czasu. Są dni, kiedy po pracy trwającej od wczesnego rana mam koło szóstej wieczorem pół godziny na obiad — a potem wracam znów do teatru i pracuję do późnej nocy. Ale ja to nietylko lubię — ja to świetnie wytrzymuję fizycznie. Nie lubię tylko w moim zawodzie pewnych, niestety czasem koniecznych ograniczeń natury finansowej: kiedy jest np. za mało pieniędzy na zrealizowanie moich projektów i kiedy trzeba z nich częściowo rezygnować“.

— Do czego pani w swej pracy przedewszystkiem dąży?—zapytuję.

Do jak najbardziej indywidualnego odtworzenia w realizacji teatralnej mojej wizji malarskiej. Ale to niezawsze jest możliwe. Dekorator musi współpracować z autorem i reżyserem. Ja np. widzę do jakiejś sztuki oprawę stylizowaną, syntetyczną — tymczasem reżyser oświadcza, że on to ujmuje naturalistycznie. Czasem przedyskutowawszy rzecz, można kogoś przekonać — ale niekiedy się to jednak nie udaje. Czasem trzeba też iść na pewne konieczne kompromisy w zabawnych szczegółach, których publiczność nawet się nie domyśla. Więc np. komponuję dla aktora kostjum historyczny — widzę go z wielkiemi bufami, z szeroką, dekoracyjną krezą. Tymczasem aktor oświadcza mi, że on się w tym kostjumie będzie źle czuł, albo że mu będzie niewygodnie. A przecież to jest żywy człowiek, który będzie się w tym stroju ruszał po scenie, będzie grał — musi się czuć swobodnie — i wtedy ja zmuszona jestem moją wizję malarską zlekka naginać do wymagań rzeczywistości. Takie bywają konieczności drobnych odchyleń.“

— Czy są czynniki, które pani pracę ułatwiają, lub przeszkadzają jej?

„Owszem — bardzo jestem wrażliwa na atmosferę, jaka mnie otacza. Dobry nastrój otoczenia, zapał personelu, dyrekcji, reżysera — stwarzają natychmiast dobre warunki dla mej pracy. I podkreślić tu muszę, że współpraca moja z personelem układa się przeważnie w sposób bardzo sympatyczny. Przeszkadza mi zaś kiedy odczuwam koło siebie ludzi złej woli, a priori krytycznie usposobionych, na co zresztą w mojej obecnej pracy nie mogę się uskarżać. Przeszkadza mi także w innej dziedzinie — bardziej realnej — konieczność sięgania do zasobów dawniejszych teatru i do przystosowywania tych rzeczy do moich koncepcji. Tego strasznie nie lubię. Wolę stworzyć coś nowego choćby z najskromniejszych materjałów, niż zużytkować te dawne wspaniałości, które jednak ani kolorem, ani rodzajem mi nie odpowiadają".

— Więc pani pracując tak wiele, zapewne o innym zawodzie nie myśli?

„O, nie! Niczego nie chcę zmieniać — mówi żywo i z zapałem Zofja Węgierkowa. Dawniej, bardzo dawno, marzyłam o tem, aby mieć piękną oranżerję i hodować w niej kwiaty. Teraz jednak czuję się z mego zawodu zupełnie zadowolona i chcę w nim i tylko w nim pracować".

ARTYSTKA DRAMATYCZNA

p. Mieczysława Ćwiklińska

Nowoczesne mieszkanie z wyjątkową umiejętnością i smakiem sharmonizowane z antykami, bibelotami, staremi obrazami, to „home" Mieczysławy Ćwiklińskiej. To „wnętrze" jest jakby usymbolizowaniem tej dawnej, rodzinnej tradycji scenicznej „najmłodszej jubilatki", łączącej w sobie najszlachetniejszą tradycję z prostotą, inteligencją i najbardziej nowoczesnemi metodami techniki aktorskiej.

Na zapytanie, co w swej pracy najwięcej lubi, a co jej specjalnie jest dokuczliwe, pani Ćwiklińska bez namysłu odpowiada: „Hałas!"

Najwięcej przeszkadza mi hałas. Hałas to moja zmora. Kiedy opracowuję rolę, lub gdy przed premjerą słyszę okrzyki i hałasy, płynące z widowni i zza kulis, to jakby mnie ktoś bił po głowie.

No, a w tym tempie pracy i napięcia nerwowego, jak Pani swoje nerwy doprowadza do równowagi, co pani specjalnie lubi?

Lubię przedewszystkim naturę. Morze — to najlepszy wypoczynek. Ale takie morze, gdzie nie skrzeczą patefony i orkiestry. Olbrzymia przestrzeń morska, słońce—to odradza całe jestestwo. Ale kocham również las i wieś polską. Na morze nie zawsze można sobie pozwolić. W lesie wśród drzew, wśród łanów zbóż odpoczywam najlepiej, najpełniej.



A gdyby tak — zapytuję nieśmiało — gdyby pani nie była wielką artystką, gdyby pani zamiast tego mogła być czem innym, to jaki zawód wybrała by pani?

Gdybym nie była aktorką — odpowiada niemal bez namysłu p. Ćwiklińska, to chciałabym... dostać się do teatru!

Więc nic innego?

Nic.

TANIEC ARTYSTYCZNY

p. Janina Mieczyńska

Janina Mieczyńska — Lewakowska, pierwsza w Polsce pionierka nowoczesnego tańca artystycznego, która wykształciła całe szeregi wybitnych tancerek, mówi o swej pracy z zapałem.

— Zawód mój lubię, bo wymaga ciągłej twórczości i, przeważnie, pozwala mi przeprowadzać moje zamierzenia. — Szaloną satysfakcję robi mi też obserwowanie postępów uczenic, ich rozwój i dojrzewanie taneczne.



Nie podoba mi się, że praca moja musi być systematyczna i unormowana, a czasem (na szczęście rzadko) chciałoby się wszystko — byle nie to!

Na zapytanie nasze, do czego dąży w swym zawodzie, pani Mieczyńska odpowiada:

— Chciałabym, żeby wszyscy zrozumieli, że taniec jest naprawdę sztuką, że musi być pozbawiony banalności i maniery. musi być: czy prosty, czy skomplikowany, zawsze szczery, tym musi przemawiać, porywać i wzruszać. Wszelkie moje wysiłki idą w kierunku dania uczennicom jaknajwiększych możliwości technicznych, tanecznych i umiejętności promieniowania wartościami duchowemi.

— Co pani pracę ułatwia, a co ją utrudnia — zapytujemy.

— Dla mnie zachętą, podnietą, świeżym zapasem zapału do dalszej pracy — jest przedewszystkiem zobaczenie jeszcze niewidzianych, doskonałych tancerek i tancerzy, czy tańców, zresztą, nawet oglądanie już znanych daje też kolosalnie dużo. — Nauczyłam się oczywiście bardzo dużo i dzięki widzianym złym rzeczom. — To przeważnie bardzo dobra „poglądowa metoda" nauczania! — Przyznam się, że stosunkowo mało dają mi czytane książki o tańcu.

Nic tak mi w pracy nie przeszkadza i tak nie drażni, jak niewyrobiony zły gust i komiczne wymagania publiczności, niektórych uczennic ich rodziców, recenzentów i t. d. Czasem to zupełna rozpacz. Myśli się, że lepiej rzucić wszystko i jechać do Afryki, aby założyć plantację kawy!

LOTNICZKA

p. W. Czyżewska-Iwanowska

Czy można sobie wystawić nowoczesną kobietę bez lotnictwa? A czy można sobie wyobrazić lotnictwo kobiece bez pani Wacławy Czyżewskiej-Iwanowskiej — pierwszej kobiety, która się zapisała do Aeroklubu Warszawskiego i przez dłuższy czas była jedyną kobietą w Aeroklubie?

Kiedy zbliżyliśmy się do tej szczupłej blondynki o typowej sylwetce nowoczesnej kobiety-sportsmenki o dużych, niebieskich, myślących oczach z zapytaniem, co ją skłoniło do czynnego udziału w lotnictwie sportowem, odpowiedziała nam z czarującym uśmiechem: „Wyrastałam od lat dziecinnych w atmosferze zainteresowania lotnictwem, gdyż mój brat już od roku 1918-go był doświadczonym lotni-

kiem. Lotnictwo jest moim najukochańszym sportem. Zawsze wykradnę choćby godzinę czasu aby dokonać choć krótkiego lotu. A przy tem poza zadowoleniem sportowem nic mi nie daje takiego wypoczynku, jak wydostanie się ponad chmury."

Na zapytanie jakie, według p. Czyżewskiej-Iwanowskiej, sporty najbardziej odpowiadają kobietom, odparła ze swą wrodzoną prostotą: „Sądzę, że wszystkie z wyjątkiem boksu i footballu, które uważam dla kobiet za sporty zbyt brutalne — i to nawet dla współczesnej kobiety, dotrzymującej kroku mężczyźnie na każdym polu. Ja sama uprawiam niemal wszystkie sporty, a poza lataniem najwięcej lubię narciarstwo, pływanie i ślizgawkę."

„Sporty uprawiam wyłącznie dla przyjemności — zaznacza świetna sportsmenka — i uważam, że tak je stosując, osiągam nietylko sprawność fizyczną, ale i równowagę duchową, oraz znaczny dopływ energji życiowej.

Jeżeli chodzi o typy maszyn, na których latałam, to były to przeważnie nasze RWD. Mianowicie: RWD 2, RWD 4, RWD 5, RWD 8 i ostatnio RWD 13. Są to według mnie najlepsze typy samolotów sportowych."

ARTYSTKA FILMOWA
p. Jadwiga Smosarska



Jadwiga Smosarska, świetna artystka filmu i sceny, odpowiada na nasze pytania, łącząc w swych odpowiedziach oba te zawody. Dowiadujemy się, że artystka od najwcześniejszej młodości miała zamiłowanie do sztuki i zaczęła pracować dla filmu i teatru, pomimo, że otoczenie jej pragnęło skierować jej zainteresowania w inne dziedziny.

Na zapytanie, co w swej sztuce lubi, Jadwiga Smosarska mówi:

„Lubię, kiedy rola, którą mi powierzono, odpowiada mi i kiedy w miarę opracowywania jej zaczyna coś we mnie dojrzewać— to daje mi dużo radości."

A czego nie lubię? — Nie lubię grać roli, w której się źle czuję, do której nie mam przekonania. To bywa dla mnie wprost męką! Pozatem muszę wyznać, że niecierpię się charakteryzować, i że pomimo konieczności mojego zawodu nie lubię fotografować się, ani ... mierzyć sukien.

— Co pani w pracy pomaga, a co przeszkadza? — zapytujemy skolei.

„Pomagają mi w mej pracy kompetentne uwagi ludzi życzliwych, za które zawsze jestem szczerze wdzięczna. Żadnej uwagi nie pomijam lekceważąco, nigdy się nie urażam — każdą udzieloną mi radę artystyczną rozważam i uwagi słuszne przyjmuję. Pozatem, jak dla każdego przecież artysty, podnietą jest dla mnie atmosfera uznania życzliwej dla mnie publiczności oraz ludzi z którymi współpracuję. Przeszkadzają mi zato nieraz osoby, które zdala stojąc od teatru, niezdolne są zrozumieć, jak bywam często zaabsorbowana moją pracą — i nie mogą uwierzyć, że trudno mi jest znaleźć chwilę czasu dla tych, którzyby chcieli mi ten czas zająć."

— Czem pani pragnęłaby zostać, gdyby się nie poświęciła karjerze artystycznej?

„Gdybym nie pracowała dla filmu i sceny — pragnęłabym być lekarzem. Nie wiem tylko — dodaje artystka z ujmującym uśmiechem — czy podołałabym okropnościom prosektorjum... Również czuję sympatję do zawodu adwokata, pociąga mnie możność stawania w obronie ludzi niewinnych i skrzywdzonych."

DZIENNIKARKA
Zofia Norblin-Chrzanowska
(wywiad z samą sobą)

Skąd się wzięłam w dziennikarstwie? Właściwie zupełnie przypadkiem. Jeszcze 15 lat temu nie czytywałam wcale prasy codzienej i brałam do rąk gazetę tylko poto, żeby przejrzeć rubrykę „Teatr i muzyka". Zajmowałam się w życiu jednakowo namiętnie różnemi kolejno rzeczami: matematyką, muzyką, sztuką zdobniczą, introligatorstwem, automobilizmem, historją sztuki...

Właśnie kiedy siedziałam po uszy w tej pasjonującej dziedzinie — było to we Włoszech — „wybuchła" Konferencja Genueńska. Ktoś mi bliski został tam delegowany jako korespondent. Miał potwornie dużo pracy — i tak się jakoś złożyło, że zaczęłam mu pomagać, jako dobrowolna sekretarka. Myślę zresztą, że dziennikarstwo jest chorobą zaraźliwą, potrosze tak jak szkarlatyna — od jednej osoby w rodzinie niechybnie łapią tego bakcyla inne. Mnie jakoś „chwyciło" definitywnie.

— Jakie czynniki mi przeszkadzają w pracy?

— Czynniki czysto zewnętrzne: miejski hałas i złe powietrze. Dlatego najlepiej pracuję na wsi. Niezbędna mi jest cisza i widok drzew. W tych warunkach pracuję bardzo łatwo, bo zajęcie moje lubię. Męczy mnie tylko niemożność uregulowania go. Dziennikarz nie ma godzin pracy. Nie ma święta ani niedzieli. Praca nocą jest okropną koniecznością. Dlatego dziennikarstwo jest chyba najbardziej wyczerpującym zawodem na świecie. A jednak przechodzi w nałóg, bo daje wiele przyjemności.

— Naprzykład?

— Najmilszą rzeczą jest świadomość, że się nie mówi w próżnię. Kiedy dostaję list z jakiegoś zapadłego kąta ze słowami uznania: *„Brawo, odważny nurku!"* — albo z innego krańca Polski z kategoryczną pretensją, czemu to już od paru numerów nie było recenzji z wystaw warszawskich — wtedy wiem, że komuś jestem potrzebna. I że nie gadam „do lampy".

— Do czego w mym zawodzie dążę?

— Ideowo — do zwycięstwa sprawiedliwości, bez względu na to, czy poruszam tematy społeczne, czy artystyczne. (Za patetyczne określenie zresztą czytelnika przepraszam, ale innego narazie nie mam pod ręką.) Temat musi mnie interesować — albo mnie porwać, albo oburzyć — nie umiem pisać na zimno. Pod względem formy zaś — dążę do maksymalnego skondensowania. Do usunięcia wszelkiej „wody". Artykuł uważam za dobry dopiero wtedy, kiedy już z niego *nic* skreślić nie można. Ideałem byłby artykuł złożony z jednego znaku pisarskiego. Naprzykład kropki. No chociażby ... kropki nad i.

— Gdybym nie pracowała w publicystyce, czembym chciała być?

Ogrodniczką! Przebywać stale w królestwie ciszy, kolorów i zapachów — to rozkosz. I mieć do czynienia z istotami tak godnemi zaufania i pełnemi wdzięczności, jak rośliny...

(Dokończenie ankiety na str. 27-ej).



Franciszek Kostrzewski. Elegantka warszawska w roku 1858 (rysunek).

EWOLUCJA SYLWETKI KOBIECEJ

Ewolucja kobiety współczesnej w zestawieniu z kobietami poprzednich pokoleń jest wyraźna.

W dziedzinie intelektualnej wyższe dążenia, w dziedzinie moralnej — większa, czasem nadmierna swoboda, w dziedzinie fizycznej — zrozumienie konieczności hygjeny i sportu. Wszystkie te przemiany nie pozostały bez wpływu na formę zewnętrzną kobiety. Bo, niema co ukrywać — kobieta ma taką linję, i taki kształt jaki mieć chce. Jaki się w danej epoce podoba.

Spojrzyjmy na wymowne zestawienie dwuch epok, na zamieszczonych tu ilustracjach. Na lewo — w ślicznym rysunku Kostrzewskiego — dama z połowy wieku XIX-go, napewno młoda i ponętna — ale dokładnie zawoalowana, ukształtowana bufiasto i falbaniasto (skądinąd zresztą estetycznie). Taka była wytworna pani owych czasów, kiedy młodzian płonął rumieńcem, ujrzawszy czubek pantofelka swej bogdanki. Strój dokładnie osłaniał postać — strój stylizował tę postać w formy kuliste, często nawet zadając gwałt naturze.

A dziś? — Oto na prawo idealna sylwetka kobieca XX-go wieku. Wiotka, jak trzcina, Loda Halama, ale nie anemiczną wiotkością. Prężna, żywa, smukła ale muskularna. Typ, do którego dąży każda nowoczesna kobieta. Ten typ odpowiada naszej epoce. Nie mamy miejsca na falbany, jak nie mamy czasu na reweranse. Musimy być szczupłe, aby rozwijać jak najżywszą aktywność — nietylko dlatego, że nam się szczupła sylwetka podoba.

Tak, tak... Moda jest wyrazem czegoś więcej, niż tylko nowego kaprysu na taką czy inną kokardkę..

GDY GWIAZDKA ZABŁYŚNIE

Gdy świerkiem miejskie zapachną place
I niebo rojem rozbłyśnie gwiazd,
Wtenczas pod strzechy chatek, pałace
Zapadłych wiosek i wielkich miast

Zagląda Gwiazdka — ten dzień jedyny,
Święcony zawsze od tylu lat,
Gdy cichną waśnie i bledną winy
I kiedy każdy każdemu brat.

A kiedy drzewko żarem zapłonie,
Kiedy Kolendy popłynie głos,
Gdy się w rodzinnym zasiądzie gronie,
Przestaje gnębić na chwilę los.

Bo każdy wielką chwilą przejęty
Dnia codziennego odsuwa cień,
Nęcą go świeczki, wabią prezenty
Jakże odległy jutrzejszy dzień...

Tylko ukryty w starym zegarze
Nieubłagany staruszek Czas,
Młotkom sekundy wybijać każe
I niewidzialne wskazówki pcha.

Niedługo bajka czarowna pryśnie,
Pogasną świeczki, zapadnie mrok
Powiędną jabłka rajskie i wiśnie
I zwykły życia popłynie tok.

W codziennym trudzie schylą się barki,
A od kłopotów zbieleje włos,
Jak niewzruszone poruszyć Parki
I zły na dobry zamienić los?

Jedyną radę dam w tej materii,
Nie jest to blaga ni żaden mit,
Kupcie w prezencie los na Loterii,
On wam zapewni szczęście i byt.

STUDIO MODY

Nowopowstały salon modelowy „Studio Mody" mieści się pod arkadami domu Kwaterunku Wojskowego, ul. Królewska 2. Zwiedzamy z zaciekawieniem ten nowy przybytek elegancji. Wrażenie jest niezwykle dodatnie od pierwszego wejrzenia — umiejętnie bowiem połączono w tem wnętrzu wykwint i prostotę linji, oraz subtelną harmonję barw. Obicia są z szarego jedwabiu milanowskiego, który również tworzy miękkie kotary. Piękne nowoczesne meble o wystudjowanych linjach — dostarczone przez firmę Radelicki — oraz artystycznie rozmieszczone oświetlenie, składają się na całość daleką od przeciętnego szablonu.

Wysoko również ponad przeciętny poziom wznosi się działalność tego nowego domu mody, pozostającego pod zarządem p. Tadeusza Hersego, długoletniego członka Zarządu, oraz dyrektora salonu modelowego, firmy Bogusław Herse.

„Studio Mody" nietylko pozostaje w ścisłym kontakcie z Paryżem, skąd co sezon sprowadza modele najwybitniejszych domów Haute Couture, lecz postawiło sobie pozatem za zadanie popieranie wytwórczości krajowej, współpracując w tym celu z Centralną Stacją Doświadczalną Jedwabniczą w Milanówku, która ostatnio stworzyła dla Studio szereg niezmiernie ciekawych tkanin — przyczem zaznaczyć należy, że niektóre z nich stworzone były specjalnie z przeznaczeniem na jeden wyłączny model sukni.

Dział modelowy spoczywa w doświadczonych rękach p. Lili Ostrowskiej - Lewickiej, która już poprzednią swą działalnością na tem polu zaznaczyła się jako indywidualność wybitnie twórcza, łącząca niezmiernie szczęśliwie zdobytą w Wiedniu i Paryżu wiedzę rysowniczki i modelistki z wrodzonym a nieprzeciętnym talentem. Nic więc dziwnego, że „Studio" odrazu zyskało entuzjastyczne uznanie najwytworniejszych pań Stolicy.



Loda Halama, świetna tancerka polska, która wróciła na krótko do kraju po swych zagranicznych tryumfach — jest wielką zwolenniczką „Studio Mody", na którego wytwornem tle widzimy jej smukłą sylwetkę artystycznie uwydatnioną przez model kreacji „Studio".
fot. St. Brzozowski

ST. RADELICKI

MAGAZYN MEBLI, N-ŚWIAT 30

Znany magazyn mebli St. Radelicki, który urządzał wytworne wnętrza „Studio Mody", bardzo wiele pracuje też dla scen polskich. Ostatnio według projektów art. dekor. Kurmana firma Radelicki wykonała wnętrza do sztuki „Zamieszaj", która będzie najbliższą premjerą Teatru Malickiej. Również z tej firmy pochodziły urządzenia wnętrz „Falangi" w filmie „Dorożka Nr. 13", jako też wiele całkowitych urządzeń sceny w „Cyruliku", w Teatrze Letnim, w Wielkiej Operetce na Karowej. Do ostatniej premjery np. wszystkie meble sceniczne w tym teatrze pochodziły z tego magazynu. Nasi artyści, znawcy rzeczy pięknych, zaopatrują się również w magazynie St. Radelickiego w meble do swych mieszkań prywatnych. Ostatnio znakomity artysta, Kazimierz Junosza-Stępowski nabył tam bardzo piękną jadalnię stylową.

Zakres działania firmy St. Radelicki jest bardzo szeroki. Obejmuje on meblowanie restauracji, klubów, pensjonatów, kawiarni, zarówno według powierzonych jak i własnych projektów. Idąc z duchem czasu i dążąc do umożliwienia szerokim kołom swych klijentów wytworne nowoczesne umeblowanie mieszkań, firma Radelicki wprowadziła zamianę mebli używanych na nowe, rozkładając dopłaty na dogodnych warunkach. Że akcja tego rodzaju była na czasie, tego dowodem jest olbrzymia frekwencja klijenteli w firmie Radelicki, przyczem firma cieszy się np. wybitnem uznaniem sfer wojskowych, licząc wśród swych stałych klijentów kilkunastu generałów i wielu wysokich oficerów.

ZOFIA NORBLIN-CHRZANOWSKA.

NAJBARDZIEJ KOCHANA KOBIETA NA ŚWIECIE

(dyskusja entuzjastki i kobiety trzeźwej).



Pani Wallis Simpson.

— ...Chyba przyznasz, mimo całego swego sceptycyzmu, że tak pięknej miłości nie było jeszcze w historji?

— Przyznam, że ta miłość pociągnęła za sobą niezwykłe skutki. (Chociaż była już kiedyś Wojna Trojańska—i Helena też nie była podlotkiem). Przyznam, że dla kobiety musi to być wrażenie niezwykłe — mieć „rzucony do swych stóp" — płaszcz monarszy Króla Anglji i Cesarza Indji. Ale myślę, że jej może przyjemniej byłoby jednak — narzucić sobie ten płaszcz na ramiona.

— No więc on chciał przecież tego! Ale strupieszałe przesądy konserwatystów mu nie pozwoliły! Tak, jakby w XX-ym wieku król nie mógł być człowiekiem?

— Hm... Bo właściwie — czy napewno *może?* Należałoby najpierw ustalić, czem jest wogóle król i władza monarsza? Myślę, że patrzeć na nią można dwojako: albo jako na *symbol*, najwyższy symbol jedności i trwałości Państwa — i tak patrzą podświadomie wszyscy maluczcy, którym potrzebne są *symbole namacalne*. Albo też spojrzeć na króla pod kątem nowoczesności — z ironicznym uśmiechem właściwym naszemu stuleciu — ale wtedy królowie wraz z całą otaczającą ich aureolą są wogóle najzupełniej zbędni.

— Więc co z tego?

— Nic. Tylko tyle, że „szary człowiek" — a już Anglik specjalnie — stawia swemu królowi wymagania: „Jeżeli jesteś moim królem — jesteś dla mnie czemś w rodzaju kuzyna Pana Boga — to bądźże nim jak należy! Nie mogę ci mieć *nic do zarzucenia*. Muszę w ciebie *wierzyć* — nietylko cię kochać. I w twoją żonę również".

— Cóż za straszliwy dylemat dla człowieka tak niezwykłego, jak ten król, który odszedł! Cóż za tragedja!

— Nie nadużywajmy wzniosłych określeń. Ja tu tragedji nie widzę. Dylemat — owszem. Ale dość już stary. Król znał „wybrankę swego serca" — (*że* użyję tego eleganckiego eufemizmu) — od lat czterech. Był wówczas dopiero następcą tronu. Miał *całe trzy lata* na namyślenie się, co woli: koronę czy ślubną obrączkę. Mógł uniknąć zamętu, który obecnie spowodował, gdyby był swe oryginalne zamiary ujawnił zaraz po śmierci ojca, rok temu. Wówczas nie zostałby naturalnie ogłoszony królem, nie byłoby zamętu na całe Imperjum i nie byłoby tych dziesięciu miljonów porcelanowych talerzy z jego podobizną, które szykowano na sprzedaż w Dominjach w czasie koronacji. Ciekawam, co oni teraz zrobią z temi talerzami? Bo przecież talerzy z twarzą króla — choćby byłego króla — nie można używać do byle czego... Chyba ci nieszczęśliwi przemysłowcy wywiozą to wszystko — i wiele innych pamiątek koronacyjnych — na głębokie morze i utopią, jak nadmierny urodzaj kawy czy kukurydzy.

— Kpisz z rzeczy poważnych...

— Przeciwnie — *podkreślam* rzeczy poważne. Bo za mało, przez wzgląd na rozterkę wewnętrzną odchodzącego króla, mówiło się o tem, jaką *katastrofą* dla przemysłu i handlu angielskiego jest ta niespodzianka — niemal w przeddzień koronacji, kiedy wszystko już do niej było przygotowane. O to mam może do pana Edwarda Windsora pretensję największą. Okazał się i w tym wypadku — romantykiem. A to jest zapewne miła zaleta u kochanka— ale wielka wada u męża stanu, a tembardziej u króla.

— Więc cóż miał robić?

— Mogło zostać, jak było. Sytuacja przyjaciółki króla Anglji też jest dla dwukrotnie rozwiedzionej amerykanki sytuacją do przyjęcia. Najlepszy dowód, że sytuacja trwała nie od dziś.

— Ale *jemu* to nie wystarczało... On przecież ogłosił całemu światu, że bez poparcia i pomocy tej kobiety nie może być królem.

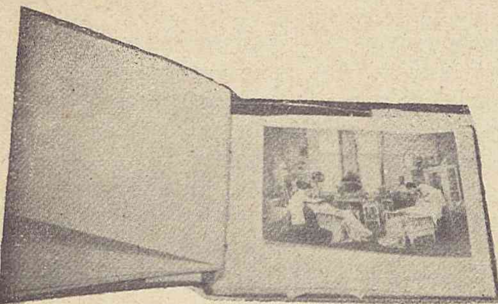
— Tak mówi niedołęga, moja droga — i Anglicy dziś już piszą, że może to lepiej, że wogóle nie zaczął panować.

— Przepraszam, on postąpił jak gentleman! Bo dlaczegożby ona nie miała być godną korony?

— Dla paru powodów: wesoła rozwódka, szalejąca po nocnych lokalach Londynu — nazajutrz po koronacji zmieniłaby się nagle w dostojną matronę? To raz. Następnie: córka właścicielki pensjonatu — to nie jest żadna „przeszłość" dla królowej Anglji. A punkt trzeci — może najbardziej groteskowy: chodzi po świecie dwuch panów, którzy nazajutrz po koronacji mogliby wydrukować na swych biletach wizytowych: PIERWSZY MĄŻ KRÓLOWEJ ANGLJI.

A to już byłaby sytuacja cokolwieczek farsowa...

ALBUM SALONU PANI ZOJI



Album salonu pani Zoji.

Album salonu Pani Zoji zawiera niejedną ciekawą kartkę. Poza szeregiem fotografji pięknych Pań znajdują się tam słowa wpisane na pamiątkę, jako wdzięczność, pochwała, a nieraz i zachwyt.

Są karty zapisane wierszami we wszystkich językach, przeważnie przez piękne panie. Nie brak tam jednak uwag płci brzydkiej, a nawet lekarzy.

W zależności od tego, czego ta lub inna pani doświadczyła i co poznała w Salonie Pani Zoji — w zależności też od charakteru i usposobienia wpisane są słowa różne.

Pani *Loda Halama* pisze:

„W podzięce, że i z mojej twarzy potrafiła Pani „coś" zrobić."

Pani *Helena Makowska Botteril:*

„Pour etre vraiment belle, il faut se soigner chez Zoja".

Najpiękniejsza Pani Warszawy na rok 1936, pani *Nina Grudzińska* tak pisze:

„Droga Pani Zojo, ma Pani czarodziejskie paluszki, które nietylko „wypiększają" moją twarz, ale pod ich umiejętnym wibrującym dotknięciem — uspakajają się moje nerwy."

A oto część wierszy, opiewających zabiegi obchudzające:

...„I Pani Zoja z rąk czarodzieja
Napewno dar swój dostała,
Bo wszak inaczej, jakąby drogą
Tych cudów dokonała?
Bierze osobę obfitych kształtów,
Trzy razy w wosku zanurzy,
I wnet z oparów wyjdzie sylfida
Powiewna, jak płatek róży.
Pytam zdziwiona, jak się to dzieje,
Że tkanki tak znikają?
Wciąż jednak myślę, że oprócz wosku
I czary tu działają!"

Są skromne uwagi, naprzykład:

„Z prawdziwą przyjemnością przejrzałam się w lusterku po pierwszym zabiegu Pani Zoji". Są też podziękowania za skuteczne, niemal cudowne zabiegi:

„Po roku niebytności przyszłam do kochanej Pani Zoji, aby ucieszyć doskonałą specjalistkę widokiem prawie gładkiej mej twarzy, której ładny wygląd zawdzięczam Jej troskliwej opiece. Miałam spaloną ospę."

Nie tylko młode panie są klijentkami Salonu Zoji, estetyczny wygląd jest potrzebny w każdym wieku — czego dowodem mała notatka:

„Pełnej uroku i wdzięku Pani Zoji składam serdeczne podziękowanie za upiększenie mej „starości".

Entuzjastki Pani Zoji, które opuszczają Warszawę, nie przestają jej odwiedzać przy okazji lub specjalnie nawet przyjeżdżają na doraźny zabieg.

„W dniu naszego Wielkiego Balu lotem ptaka przyleciałam do przemiłej Pani Zoji z naszej dalekiej Łodzi — aby się upiększyć" — pisze jedna z klijentek.

Znana tancerka pani *Rena Hryniewiczówna* w krótkich, na poczekaniu zaimprowizowanych wierszach ujęła stosunek Pani Zoji i siebie jako klijentki:

„Dzięki Pani tak wyglądam, Pani Zojo! Nie mnie zatem widzisz — tylko postać swoją!"

Czytamy w tym albumie wiersze pisane z rozmachem, serdecznością lub skromne słowa, nieraz nacechowane humorem i szczerością.

Album zawiera odzwierciedlenie długiej pracy i jej wyników, które Pani Zoja nadewszystko ceni i przechowuje jako najmilsze wspomnienia.



Pani Zoja Wasilewska.

KOBIETY MÓWIĄ O SWEJ PRACY (dokończenie naszej ankiety)

Zamieszczamy z kolei odpowiedzi kobiety - przemysłowca i właścicielki Salonu Kosmetycznego.

KOBIETA - PRZEMYSŁOWIEC
p. Julja Ujejska

Pani Julja Ujejska, właścicielka i czynna kierowniczka znanego magazynu futer, tak odpowiada na nasze pytania :

— Dlaczego pani obrała ten zawód?

— Dlatego, że jest to praca twórcza i że w ręku kobiet takich placówek nie było.

— Co pani najwięcej lubi w swym zawodzie?

— Bez wyjątku wszystko.

— Co pani w pracy pomaga?

— Fachowość i znajomość rzeczy współpracowników oraz wyjątkowo życzliwy i dobry stosunek klijenteli, która ocenia moją uczciwą pracę.

— Czem chciałaby pani być, gdyby miała pracować w innej dziedzinie?

— Działaczką społeczną.

KOSMETYCZKA
p. Zoja Wasilewska

Pani Zoja Wasilewska, właścicielka znanego Salonu Kosmetycznego, mówi nam:

Na wybór mego zawodu wpłynął w dużej mierze duch czasu. Przecież XX wiek nazywają niektórzy wiekiem kosmetyki! Nadto moje wrodzone zamiłowanie do piękna ma szerokie zastosowanie w tej pracy. Cieszę się, kiedy widzę jak z szarej, zmiętej twarzy wydobywa się życie, jak oczy nabierają wyrazu, uwydatnia się owal twarzy — budzi zaczyna się uśmiechać.

Doświadczyłam w mej praktyce, że kobieta, wyglądając lepiej — staje się nietylko szczęśliwszą, ale łagodniejszą i bardziej dobrą.

Przykro mi, że w moim zawodzie spotyka się dużo blagi, i że wiele osób nie potrafi jej odróżnić od racjonalnej pielęgnacji i zabiegów prawdziwej estetyki. Lubię swój zawód, lubię pielęgnować, upiększać... Lubię widzieć rezultaty i być pomocną w *ważnym* zmartwieniu kobiety — jakim jest zły wygląd!

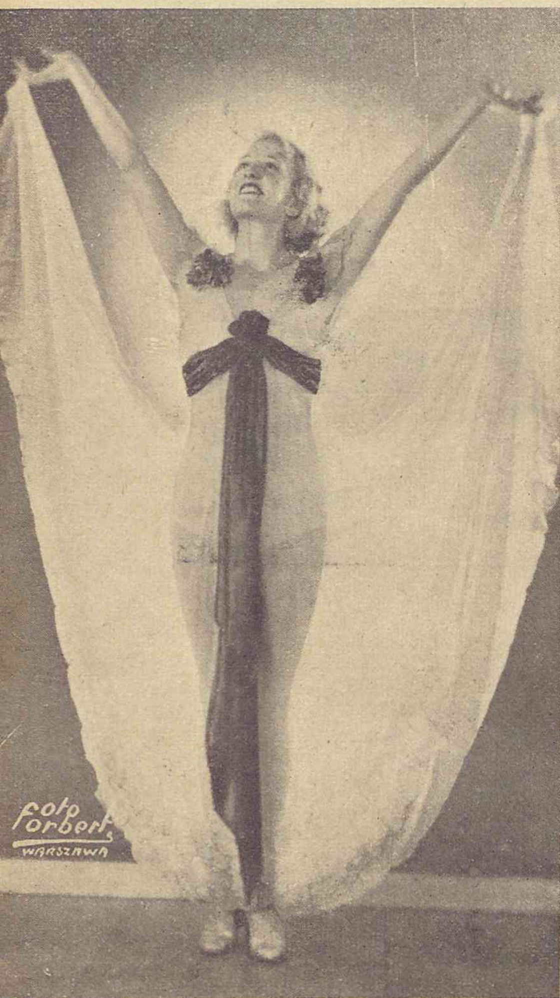
Gdybym nie była kosmetyczką — pragnęłabym zajmować się pielęgniarstwem, opiekować się, nieść pomoc, ale może inaczej, może jako Szarytka!

ROMANA DALBOROWA.

„BABIOLETNIE" KOBIETY

Białe nitki babiego lata włóczą się po żółknących przywiędłych liściach. Białe nitki plączą się wśród jasnych czupryn i kruczych warkoczy, nad przywiędniętemi twarzami. Biała melancholja ostatnich dni lata. Ostatnich dla tych nitek z drzew i krzewów. Ale dla kobiety niema ostatnich dni lata, kobieta nie jest bezradna, jak natura. Kobieta ma zakłady kosmetyczne. Kobieta jest wrażliwsza od byle trawki czy krzaka, jest kwiatem cieplarnianym, nie znosi zimna i nie znosi swojej zimy. Nasze babki wychodziły z założenia, że ludzie nie lubią „starej baby", a więc były młodziutkie, ale potem, koło trzydziestki, robiły się odrazu staruszkami i nakładały „fanszoniki" na włosy. Nasze pokolenie przesunęło o głupie kilkanaście lat wiek „fanszonikowy" kobiety. Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że przeżywamy drugą młodość pod czterdziestkę, a jak dobrze pójdzie będziemy przeżywały i trzecią, dobiegając 60-ki.

ARTYSTKA I JEJ STROJE



OLA OBARSKA, czarująca artystka Teatru 8.15 osiągnęła wielkie powodzenie w komedji muzycznej „Gaby". Ogólny zachwyt wzbudzały jej sceniczne toalety. Ta, którą widzimy powyżej, cała plisowana soleil, koloru róży herbacianej, z szarfą i kwiatami barwy lila. Druga toaleta saumon cała wycinana w płatki kwiatu, tworzyła jakby stylizowany tulipan, niezmiernie oryginalny i prześliczny w tańcu. Jak się dowiadujemy, artystyczne te stroje pochodzą ze znanego Domu Mody KLEMENTYNA KOZŁOWSKA, Al. Jerozolimskie 37.

Do niedawna miałam manję propagandy uroku „kobiety więdnącej", że to niby, jak ta róża, która, więdnąc, silniej pachnie, że tylko młokos i profan leci na ten połysk włosów i zdrowe zęby młodości, a prawdziwy znawca, smakosz, koneser doświadczony, ocenić umie każdą zmarszczkę, jako wyraz przeżycia i przemyślenia itd. itd. W porę zorjentowałam się, że jest to niesmaczna autoreklama.

Zastanawiam się nieraz dlaczego niema „chłopskiego lata", przecież mężczyzna tak samo siwieje, taksamo traci zęby, taksamo rośnie lub zapada mu się nadmiernie brzuszek; nie opada może tylko, niestety nieobecny, biust, ale za to łysieje głowa, co u kobiet jest rzadkością.

Takie to już jest nastawienie antyfeministyczne w naszem społeczeństwie. Trzeba by się raz zastanowić poważnie, czy słuszne jest uprzedzenie do kobiet babioletnich.

O młodej dziewczynie mówi się, że ma włosy *„jak roztopione złoto"*. Wiadomo, złoto jest piękne na głowie, jeszcze piękniejsze w kieszeni, safes'ie lub pończosze, ale złoto może być *tylko złotego* koloru. Kobieta babioletnia ma ten przywilej, że włosy jej są *„jak roztopiona henna"*, a henna ma jedenaście odcieni. Cóż za bogactwo przewagi!

O młodej dziewczynie mówi się, że ma ząbki „jak z porcelany", (taka sobie przesadna metafora). Kobieta babioletnia ma zęby *z autentycznej* porcelany i to zagranicznej.

Karnacja młodej dziewczyny to „krew z mlekiem". Ta krew — to nikłe rumieńce, a o mleku u dziewczęcia wogóle nie może być mowy. Tymczasem kobieta babioletnia ma zawsze naprawdę krwiste policzki, czy to z artretyzmu, czy ze źle dobranego różu, a myje się też naprawdę mlekiem, a nawet i kremową śmietanką.

U młodej dziewczyny oczy są jak gwiazdy. Kobieta babioletnia ma w oczach czarne chmury, pioruny, błyskawice i potoki deszczu łez. Tylko miałki typ podziwia bezmyślne mruganie gwiazdy, — znawca podaje czoło burzy z rozkoszą, chyba że boi się wogóle piorunów i włazi ze strachu pod łóżko.

Usta dziewczęcia są jak „malina, poziomka" i tym podobny owoc banalny. Otóż poniektórzy dostają pokrzywki od tych jagód. Usta kobiety babioletniej są kremowe, nabrzmiałe nieraz od fluksji, od gadania mięsiste jak brzoskwinia, — czyż jest owoc soczystszy!

Jedyna może przewaga młodości, to brak podbródka. Podbródek jest bezbronny, nie podejmuję się stanąć po jego stronie bo — on mnie zwyciężył, a ja jego nie potrafię.

Proszę nie myśleć, że w ten sposób przebiegnę okiem krytycznem całe ciało niewieście. Ani miejsce, ani wrodzona skromność nie pozwalają mi na to. Ograniczę się tylko do ogólnej uwagi, że o kibici dziewczęcej mówi się, że jest „jak trzcina". Wiadomo, że trzcina jest rzeczą giętką i przechyla się, kędy najmniejszy zefirek powieje. Kibić kobiety babioletniej jest jak dąb, mocno korzeniami w ziemię wrosły. Wierność jej i *stałość,* (nieraz ku rozpaczy mężów i kochanków) jest nie do przełamania.

Jeżeli kobieta używa zwrotu „bo w moim wieku" i t. d., nie należy jej wierzyć. Kobieta nie ma poczucia swego wieku. Mówi tak przez figlarność, wrodzoną przekorę, przez kokieterję i dziwi się, gdy nie usłyszy gorącego zaprzeczenia. — Dzisiaj niema kobiet starszych — a jeżeli widzi się tu i owdzie białą nitkę babiego lata, wplecioną w dobrze zaondulowaną koafiurę, to są to pozory, a wcale nie dowód przeżytych lat.

To bywa zawsze przedwczesne, nieraz dziedziczne, często nerwowe, a nierzadko jest objawem przepracowania, lub naturalnego znużenia, z powodu dźwigania na swych z natury niższych barkach wyższego wykształcenia.

SEKRET BABUNI

Kazio — myślał pan Antoni. Kazio coraz bledszy, kaszle.. Co począć — do sprzedania niema nic, pensja coraz mniejsza. Matka cudów dokazuje, aby to niezamożne gospodarstwo nakarmiło i wyłatało jako tako wszystkich. Odkąd umarła Ewunia wszystko się jakoś na gorsze obróciło. Z nią było szczęście, powodzenie. Kazio mu został. Taki podobny do matki. Kazio, mój Kazio — ale Kazio coraz bledszy, myślał, biegnąc ku domowi Antoni. Deszcz ciął coraz boleśniej, ale nic to było w porównaniu z rozterką wewnętrzną.

* * *

Po stromych schodkach dotarł pan Antoni na swój czwartak w oficynie. Kazio, a za nim matka Antoniego wybiegli na spotkanie do maleńkiego przedpokoiku. Nie miał siły Antoni podzielić się odrazu z matką temi nowinami. Skoro jednak wszedł do stołowego pokoju, baczne oko matki, zasnuło się troską, na widok znękanej twarzy Antoniego. Kazio czepiał się rąk ojca, wesoło pokrzykując z radości. „Idź no, Kaziu, do kuchni — rzekła babka — odgrzej ojcu obiad". Kazio z radością i dumą pobiegł do kuchenki, czując że spełnia ważną rolę, że jest pożyteczny. Odgrzewanie obiadu było ulubionem zajęciem, ale rzadko babka pozwalała, aby jej kulinarne wyczyny narażać na ryzyko... zapału wnuka.

Gdy zostali sami, pan Antoni nagle poczuł na włosach spracowaną dłoń matki. „Co ci synku?" usłyszał tuż nad uchem i kochające ramię objęło jego głowę.

— Och mamo, szepnął, znów niepowodzenie, znów obniżka, co my zrobimy, jak sobie poradzimy? Ostatnia nadzieja wysłania Kazia w góry zniszczona, a on coraz mizerniejszy. —

W oczach pani Franciszkowej zabłysła łza. Ta najpiękniejsza łza do której zdolne jest tylko oko matki, na widok cierpienia ukochanego dziecka, ale jednocześnie zagrał i jakiś jaśniejszy, radośniejszy błysk. W tej chwili do pokoju dumnie wkroczył Kazio, niosąc talerz odgrzanej zupy. Gdy już ją ojcu podał, babunia dała mu jakiś porozumiewawczy znak i powiedziała: „Wiesz co, Kaziu, trzebaby tatusiowi opowiedzieć jaki to gmach w Warszawie najbardziej cię zainteresował".



— Już dziś?

— Tak, już dziś.

Pan Antoni spojrzał to na jedno, to na drugie ze zdziwieniem. — Cóż to za dom — zapytał.

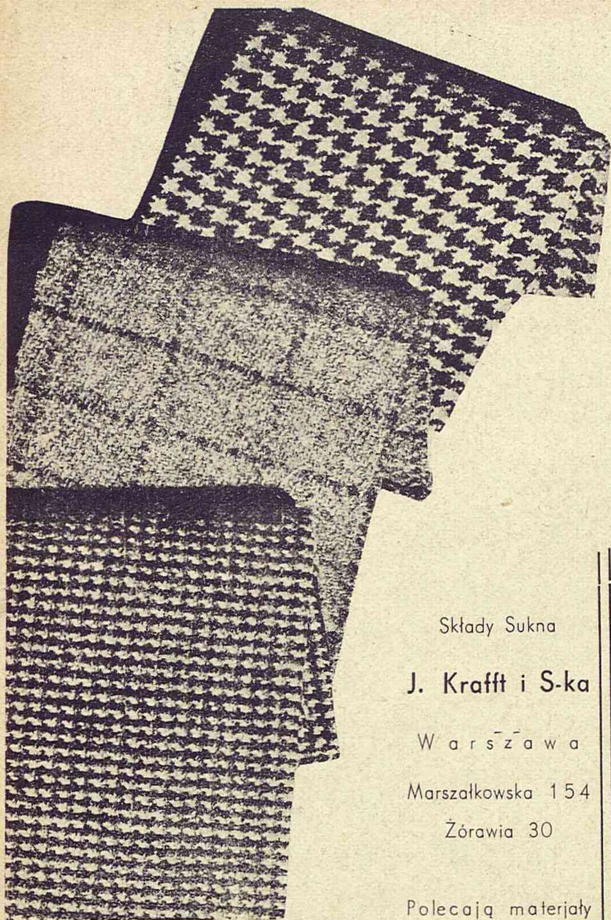
To taki dom, tatusiu, gdzie jest ogromny ruch, odparł Kazio. Tyle tam osób wchodzi, że jak pierwszy raz go zobaczyłem i chciałem porachować, to nie mogłem nadążyć. Z początku nie wiedziałem co to znaczy, jedni wchodzą, drudzy wychodzą, podchodzą do okien, w szklanych ścianach, gdzie siedzą poważni panowie, coś mówią, załatwiają — a wszystko tak prędko, grzecznie. Zapytałem Babuni, co to za dom? A Babunia powiedziała — to dobry dom. Kto tu często wchodzi, to z czasem może i w góry pojechać, i saneczki kupić, i zdrowie poprawić, i warsztat założyć. Więc ja z babunią chodziłem do tego domu co tydzień. Już przeszło rok chodziliśmy.

— No i co, i co — zapytał pan Antoni, ciągle się przyglądałeś? O, nietylko—potem to i ja z jednym panem zacząłem rozmawiać i do jednego okienka chodziłem i ten pan dał mi to. Tu Kazio — pobiegł do swej komody i przyniósł spory zeszyt. A-leż to książeczka P. K. O. — wykrzyknął pan Antoni.

A tak, Tatusiu, z dumą odparł Kazio. Ja tam nosiłem, to, coś mi dawał dawniej na zabawki, a babunia, co oszczędziła na obiedzie. Bo babunia wymyśliła w sekrecie, że sami uzbieramy na mój wyjazd w góry. O, widzisz, patrz, mam tu 200 złotych. Mogę kupić narty, saneczki i jechać i ty pojedziesz ze mną, dobrze?

Pan Antoni miał łzy w oczach, całował matkę po rękach, Kazia gładził po głowie. Wiedział, czuł, że jego ukochany jedynak odnajdzie zdrowie i rumieńce w górach. — Widzisz synku — mówiła pani Franciszkowa, jaki to dobry dom, prawda?

Tatusiu, wykrzykiwał Kazio — ja cię tam zaprowadzę, to na Jasnej ulicy, to bardzo duży, bardzo dobry dom! *A. B.*



KTO DLA PIĘKNEJ PANI PRZYGOTOWAŁ NAJBARDZIEJ KUSZĄCE PREZENTY GWIAZDKOWE?

Składy Sukna

J. Krafft i S-ka

Warszawa

Marszałkowska 154

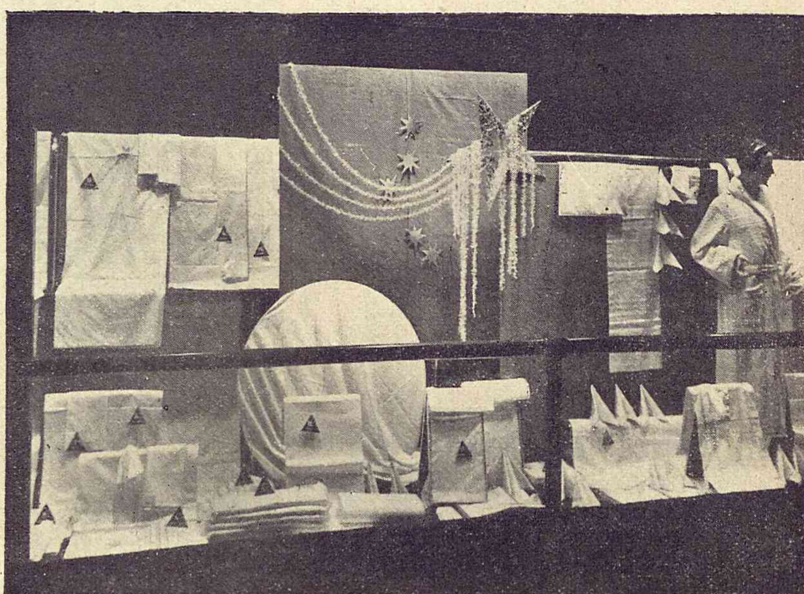
Żórawia 30

Polecają materjały

garniturowe, paltotowe, kostjumowe damskie, oraz sukna kolorowe, mundurowe i liberyjne

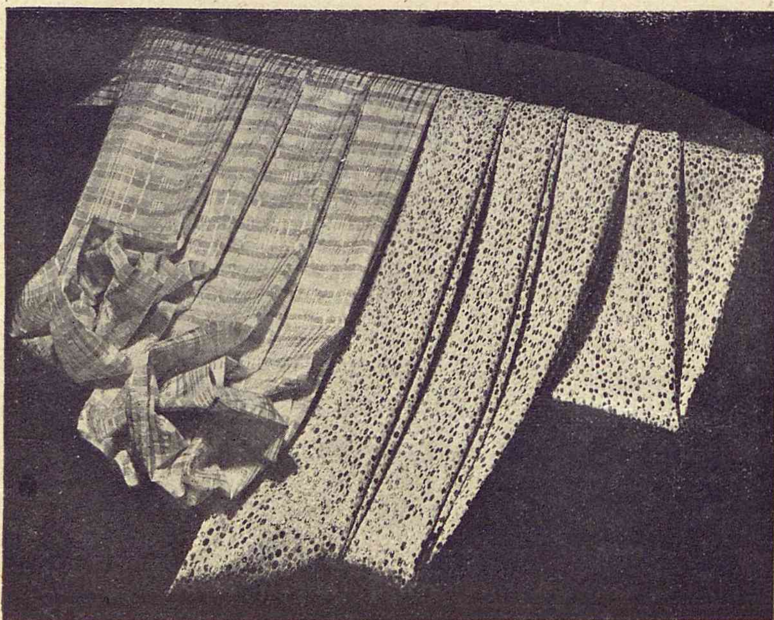
ŻYRARDÓW

Towarzystwo Zakładów Żyrardowskich S. A.
Zarząd w Warszawie, ul. Traugutta 8.



Nasze wyroby lniane i bawełniane można otrzymać we wszystkich większych sklepach bławatnych.

Zdjęcia St. Brzozowski



BOGUSŁAW HERSE

Marszałkowska 150

Warszawa

wykwintne nowości w jedwabiach.

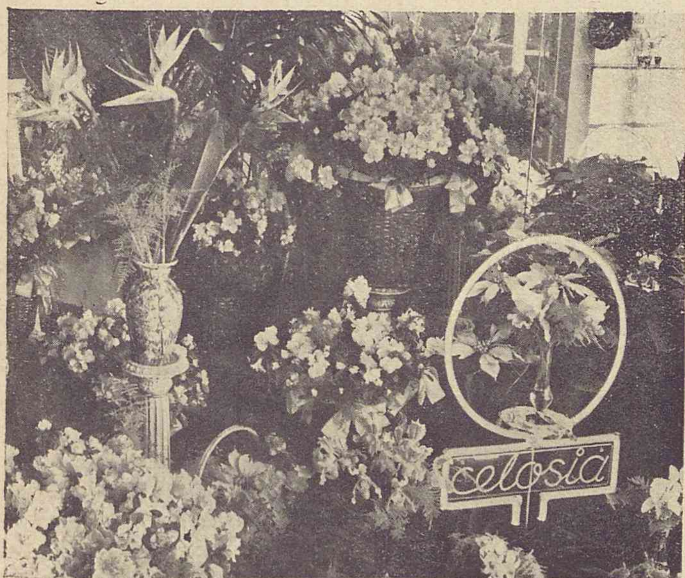
Wytwornej pani podczas przyjęć świątecznych i karnawałowych niezbędna będzie waza do kruszonu oraz srebrzona zastawa do herbaty z firmy:





NORBLIN, B-CIA BUCH i T. WERNER

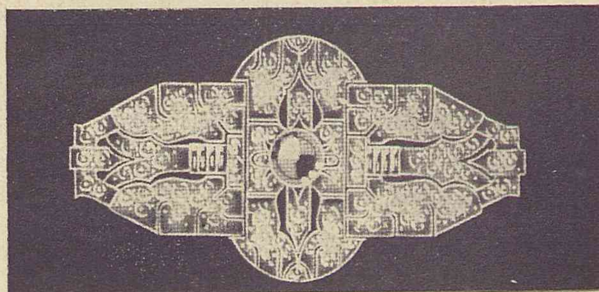
Magazyny: Bracka 16, Nalewki 2-a, Marszałkowska 127.



CELOSIA

Zakład ogrodniczy,

Mokotowska 12, róg Placu Zbawiciela.



Brosza brylantowa z firmy

J. TURCZYŃSKI

Ossolińskich 8.

Warszawa

„ĆMIELÓW"

Polska porcelana

Marszałkowska 124

Warszawa



HALINA KOROLEC-BUJAKOWSKA

PAŁAC MARMUROWY

(Korespondencja własna „Świata" z Indyj).



Błękitna papuga.

W Calcutta naprawdę niema co zwiedzać. Trzy dni pędzania od jednej okropności do drugiej zaznaczonej w przewodnikach, jako interesujące zabytki. Półżywa ze zmęczenia i obrzydzenia po tych wszystkich mozajkowych świątyniach zdecydowałam, że poczta jest najpiękniejszym gmachem. A byk Sziwy spacerujący przed wrotami Palace Hotel'u — najcharakterystyczniejszym zabytkiem.

Po południu przychodzi mój mały braminek. Poznaliśmy się na ulicy. Stał w tłumie i gapił się na mnie jak inni. Znajomość zawarta. Wjechaliśmy do miasta.

Od tego czasu przychodził do nas co dzień i był naszym przewodnikiem. Po raz pierwszy wraz z nami zwiedzał swe rodzinne miasto. Zresztą tak zawsze bywa na całym świecie. Swego miasta się nie zna.

Mój braminek jest śliczny. Ma oczy zranionej sarny i wdzięk osiemnastoletniego dziecka. Jest zresztą głupawy, jak wszyscy przeuczeni studenci. Strasznie interesuje się historją Europy. W danej chwili Polski.

Mój braminek oznajmia, że jego matka, ciotka i siostrzyczka Monimela czekają na dole w maszynie by nas zawieźć do marmurowego pałacu. Jego matka jest przyjaciółką bogatej pani tego domostwa.

Jedziemy. Jedna okropność mniej, jedna więcej nie zrobi już różnicy. Rodziny tak się namnożyło, że w aucie brak miejsca i mój chłopiec wiezie dwuch na motorze.

Kręcimy ulicami bazaru. Zatracam kierunek. Wiem tylko, że posuwamy się w tę część miasta, gdzie jest Jain-tempel. Ulice. Zakręt. Wrota ogrodu. Szeroki podjazd. I odrapana, wyszarzała fasada pałacu w stylu neoklasycznym.

Gdzie marmur? Widzę tylko odrapany tynk. Monimela ciągnie mnie za rękę wokół domu. Jestem już z tyłu. Czerwona, ceglana przybudówka. Parę zgniłych belek. I ciemne wąskie przejście. Domyślam się, że wchodzimy prywatnem wejściem pani.

Tak i było. Przez pardah, gdzie kręciła się służba i stało na podłodze masę brudnych naczyń, jeszcze jakieś schody, wpadam wprost do sypialni pani domu.

Nic marmuru. Tylko straszne porcelanki „made in Germany" w gablotce i nieudolne hafty ręczne



Monimela w ogrodzie.



Wnętrze pałacu — piękne posadzki.

w ramach na ścianie. Na środku pokoju króluje rozbabrane łóżko.

Po pewnej chwili zjawia się pulchna pani domu z dużym brylantem w nosie. Piłam słodzoną wodę — taki zwyczaj w Indjach, siedząc wraz z nią na nieposłanem łóżku. Pełne wdzięku i prostoty jest życie tych niebywale bogatych ludzi.

Monimela zostawia matkę i ciotkę w sypialni wraz z panią domu. Ciągnie mnie za rękę. Idziemy.

Rzeczywiście zaczarowany pałac otwiera przedemną swe wrota. Stoję na galerji krużganku wewnętrznego dziedzińca. A w dole, na przecudownej mozaice wszystkich możliwych barw i odcieni marmurów, chodzą białe i zielone pawie.

Schodzę w dół. Strzelają w górę do balustrady krużganku zdobne kolumny. W głębi podjum na tron, lub miejsce na ołtarz. Parę ławek kutych w misterne, żelazne koronki. Białe pawie i czarne małpy.

Wkrąg tego dziedzińca przez dwa piętra amfilada sal. Marmury. Kryształy weneckie. Meble inkrustowane masą perłową i różanem drzewem. Wazy sewrskie, chińskie, japońskie, saskie. Bóg ich jeden wie. Jest ich tyle, że aż za dużo. Jedna piękniejsza od drugiej.

Rzeźby, bronz, marmur, gips. I obrazy. Wrażenie prywatnego Louvre. Jeżeli nie w oryginałach, których jest dużo, to w kopjach. Murillo, Rafael, Da Vinci, Rubens — najbogatsza galerja obrazów mistrzów europejskich chyba na całe Indje.

Pytam dwunastoletniego synka domu, czy każdy ma prawo wejść tutaj i oglądać.

— Każdy hindus z ulicy. Dom jest otwarty, tak, jak i ogród.

Idziemy do tego ogrodu. Rzeczywiście na trawnikach bawią się dzieci z ulicy. Przechodnie skracają sobie drogę, lub spacerują w cieniu drzew.

Na strzyżonym trawniku przed podjazdem walczą żórawie. Popielate, smukłe, w czerwonych kapturkach.

Wzdłuż trawników jak szpalery drągi i klatki z papugami. Są zielone, białe, czerwone, błękitne. Małpy, strusie i jeszcze jakieś zwierzątka. Prywatny ogród zoologiczny.

W krzakach czają się posągi lwów i bogów. Sztuczne groty, kaskady, fontanny. Wszędzie rozrzucone niedbale ławki i ławy z marmurowej mozaiki.

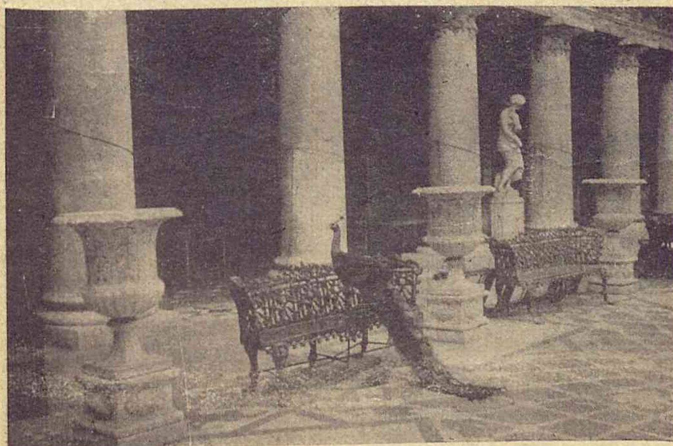
W kąciku ogrodu szklarnia. Tam, w sztucznie wzmożonym, tropikalnym klimacie hodują się orchidee.

Wśród tego ogrodu, tego przeładowania przepychem, bogactwem i dziwactwem, anemiczne popiersie wielkiego dziadka bahadura, twórcy domu. Blade jest i bez wyrazu, jak biały marmur.

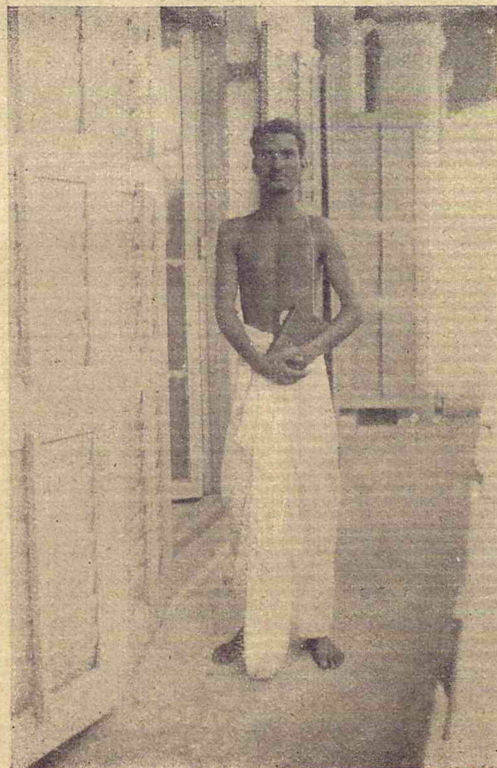
Zdjęcia St. Bujakowskiego



Aleja papug.



Wewnętrzny dziedziniec.



Braminek.

ARTYŚCI NA WYWCZASACH



Ulubieni artyści Warszawy, Marja Malicka i Zbyszko Sawan, codziennie zbierają w swym teatrze huragany oklasków. Kilkaset przedstawień jednej sztuki idzie przy „bitych kompletach". Jakże może ta sympatyczna para artystów wytrzymać ten ciągły wysiłek nerwowy i fizyczny? Gdzie szukają wytchnienia, aby nabrać nowych sił do dalszych triumfów?

Tajemnicę zdradził nam przypadek. Spotykamy uroczą Marysię i pięknego Zbyszka, pedałujących zawzięcie, na którymś kilometrze za Warszawą. Czy wolno spytać, dokąd zmierzają? Wolno. Oto jadą do Anina, do swego domku campingowego, gdzie w ciszy wiejskiej i cudownem leśnem powietrzu wypoczywają najlepiej, najpełniej. Aby się jednak uniezależnić od wszelkiej komunikacji „oficjalnej" wraz z jej obowiązującemi godzinami — Malicka i Sawan posiadają środki lokomocji własne, samochód i rowery, które im pozwalają korzystać z każdej wolnej chwili i wyjeżdżać do lasu wtedy, kiedy mają czas i ochotę.

Nawiasem mówiąc popularni artyści nabyli swe rowery w niedalekim sąsiedztwie, w sklepie Polsk. Wytw. Uzbrojenia.

NOWOCZESNA KOBIETA I SAMOLOT



Jaki jest najprzyjemniejszy, najbardziej nowoczesny sposób podróżowania? Oczywiście samolot! Współczesna pani wie o tem doskonale. Wie, że podróżując samolotem — podróżuje najszybciej. Wie, że wysiada z samolotu wypoczęta i świeża, a nie zakurzona i zmęczona, jak to ma miejsce w kolei. Wie pozatem, że w podniebnej podróży dozna mnóstwa miłych i niezwykłych wrażeń — a i to jest nie do pogardzenia. To też na zapytanie, jakim pociągiem wybiera się do Berlina, Sofji czy Aten — nowoczesna pani wzrusza wzgardliwie ramionami i odpowiada krótko: „Ja podróżuję wyłącznie Lotem".

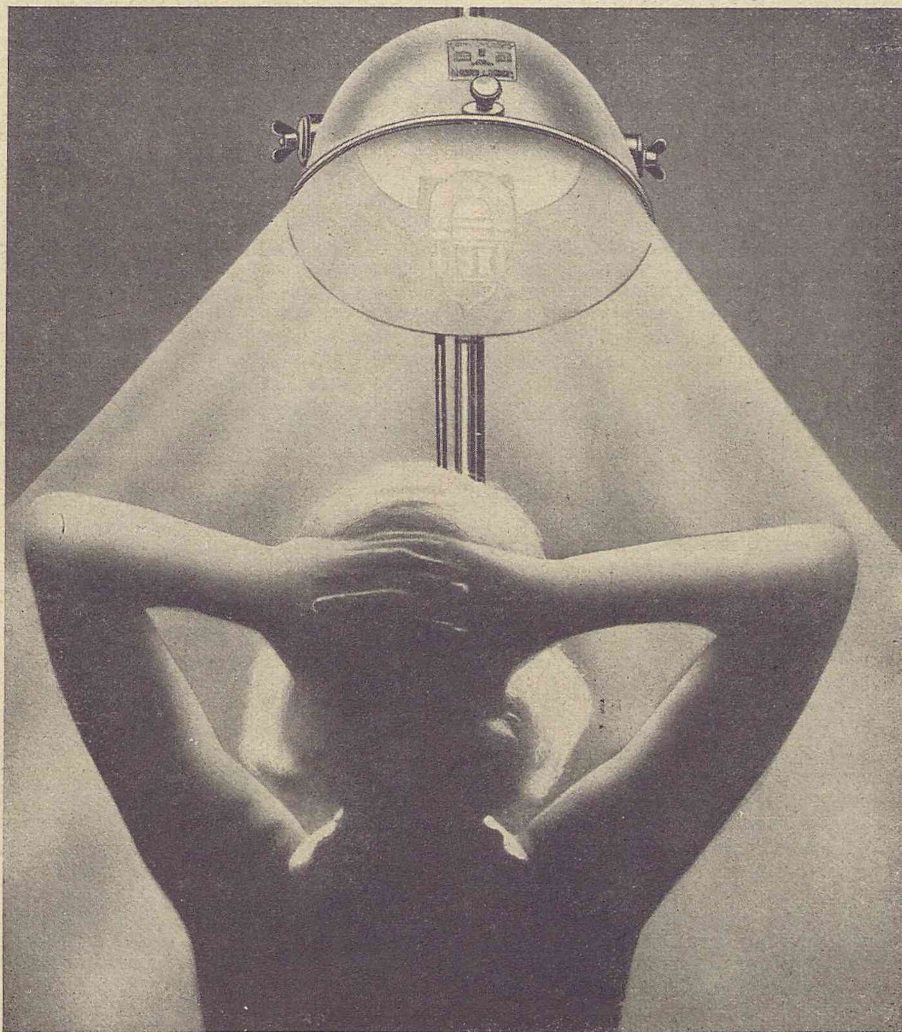
TEMPO! TEMPO!

Prababki nasze gęsiem piórem pracowicie wypisywały długie epistoły na blado-różowym papierze. My, kobiety wieku XX-go nie mamy czasu na takie długie ceremonje. Każda współczesna pani zarówno dla swej pracy zawodowej, jak dla korespondencji prywatnej, używa oczywiście maszyny do pisania. Polska marka F. K. zdobyła już sobie zasłużoną renomę i szerokie rzesze klijentek.



„SZTUCZNE SŁONCE GÓRSKIE"

Spotkaliśmy jedną z najpiękniejszych warszawianek, cudownie opaloną, tryskającą zdrowiem i humorem. „Skąd pani wraca? Z Włoch? Egiptu? „Nic podobnego — usłyszeliśmy odpowiedź. Mój wygląd i zdrowie zawdzięczam słońcu — w Warszawie. Tylko nie jest to oczywiście słońce na niebie — bo tego nam nasz klimat poskąpił, niestety. Posiadam natomiast własne „Sztuczne Słońce Górskie" — cudowną lampę do naświetlań, która przywróciła i mnie i moim najbliższym zdrowie i radość życia. Krótkie niekłopotliwe naświetlania są najmilszą w świecie kuracją, stanowią poprostu wielką przyjemność. A jako ich rezultat odczułam w bardzo krótkim czasie ogólne wzmocnienie, znakomitą poprawę apetytu, świetny sen — no i osiągnęłam ten piękny koloryt skóry, który wszyscy podziwiają! Naświetlania dały memu maleńkiemu synkowi świetny wygląd i nad podziw zdrowy rozwój, a memu mężowi usunęły radykalnie trapiące go migreny. Moją teściową wyleczyłam „Sztucznem Słońcem Górskiem" z zastarzałego reumatyzmu, a moją kuzynkę z trapiących ją newralgji. Słowem — znalazłam cudowny środek leczniczy — i uchodzę obecnie za magicznego lekarza. A wszystko dzięki „Sztucznemu Słońcu Górskiemu", wyrobu krajowego firmy B-cia Borkowscy w Warszawie — Bracka 12.



HIGJENA I ESTETYKA

Niektóre panie mówią lekkomyślnie: „Nie noszę żadnego pasa. Gorset to przeżytek". Tymczasem lekarze są naogół innego zdania, i uważają, że dobrze dopasowany, na daną figurę robiony pas stanowi konieczne wzmocnienie mięśni, podtrzymujących organy wewnętrzne. Inne panie noszą pas bylejaki — i dziwią się, że żadna suknia na nich dobrze nie leży... Ogół pań jednak docenia ważność hygjeniczną i estetyczną dobrego pasa — dlatego zwracają się one do prawdziwie fachowych specjalistek. Jedną z nich jest p. Augusta Szymkowicz, mistrzyni cechowa, z której szkoły wyszło już wiele ukończonych i przygotowanych do swego zawodu uczenic. Pracownia p. Szymkowicz posiada stale ostatnie nowości Lastex, elastyczne i giętkie, najnowsze modele zagraniczne pasów, całości i staniczków dla pań, sportowych pasów dla narciarzy, a dla dzieci i młodzieży niezbędnych prostotrzymaczy.

Wszystkie dbające o zdrowie i estetykę panie zaopatrują się w pracowni A. SZYMKOWICZ, ul. Wspólna 33, Warszawa.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Juljan Tuwim. — Treść gorejąca, poezje. Tow. Wyd. J. Mortkowicza.

Kazimierz Truchanowski. — Ulica wszystkich świętych... powieść. Nakł. Księg. F. Hoesicka.

Gustaw Olechowski. — Walka o prawo do pracy. Nakł. polskiego Tow. Przyjaciół książki. Bibljoteka wiedzy społecznej.

Antoni Wysocki. — Polonez Ogińskiego, powieść. Nakł. Księgarni F. Hoesicka.

Jerzy M. Taylor. — Na Czerwonej Przełęczy, powieść. Wydawnictwo Księgarni Popularnej.

Zbigniew Zaniewicki. — Równik, powieść. Wydawn. Księg. Wł. Michalaka i S-ki.

Adam Szczerbowski. — Współczesna poezja polska (1915 — 1935). Nakł. Koła Miłośników Książki. Warszawa — Zamość.

Bolesław Leśmian. — Napój cienisty, poezje. Tow. wydawn. J. Mortkowicza.

U PROGU SEZONU ZIMOWEGO

Od świąt Bożego Narodzenia rozpoczyna się zimowy sezon turystyczny, okres zimowych wyjazdów i urlopów coraz popularniejszych ostatnio wśród wszystkich warstw społeczeństwa.

Każdy niemal, w miarę możliwości przeznacza sobie część urlopu na okres zimy, aby choć tydzień, choć kilka dni spędzić na odpoczynku w górach; ten system urlopów przyjął się już we wszystkich krajach, posiadających warunki po temu, a ma on jeszcze tę dobrą stronę, że wprowadza na przestrzeni roku dwa okresy odpoczynkowe, zamiast jednego, wprawdzie krótsze, dające jednak w sumie znacznie większy efekt dla zdrowia.

Do niedawna jeszcze ogólny kierunek zimowego ruchu turystycznego był dość ograniczony; poza Zakopanem, a później Krynicą, nie znaliśmy jeszcze naszych gór. Z biegiem czasu dopiero „odkryte" zostały i Beskidy Śląskie i Karpaty Wschodnie z Huculszczyzną i Bieszczady i inne przepiękne tereny górskie. Bo w Tatrach zrobił się „tłok", zrobiło się za ciasno dla tych wszystkich, którzy zapragnęli ciszy górskich szczytów, czy emocyj „szalonych" zjazdów.

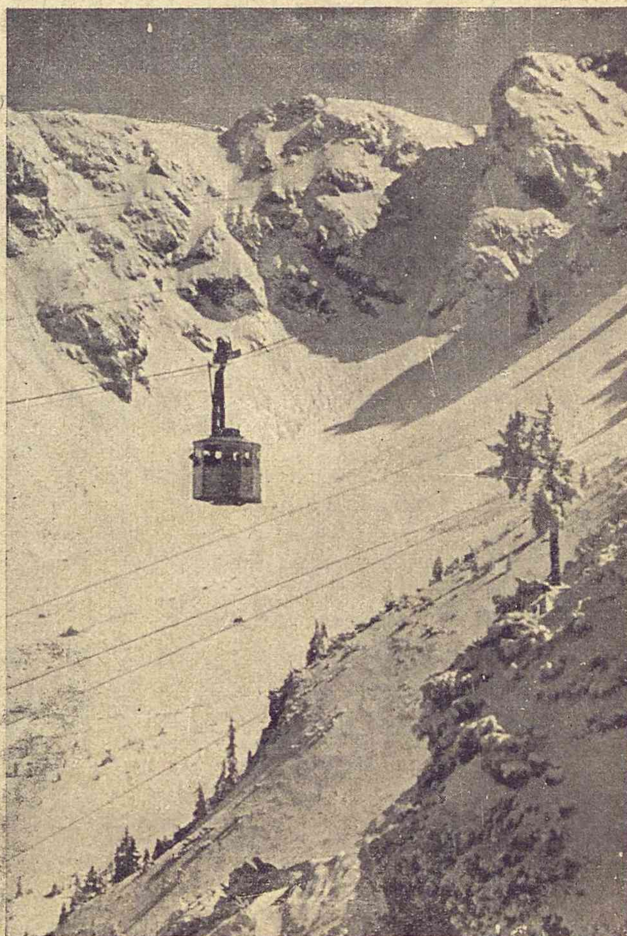
Cały ten „pęd w góry" ująć należy w jakieś ramy, zorganizować, skierować na właściwe tory. Inicjatywę tę podjął na szerszą skalę „Orbis", który jako narodowe biuro podróży postawił sobie za cel w pierwszym rzędzie podniesienie i rozwój turystyki krajowej.

Leży oto przed nami gustownie wydana broszura p. t. „Zima w górach", obejmująca program krajowych imprez zimowych „Orbisu".

Wielki program zimowy pomyślany został w ten sposób, że każdy zależnie od upodobań, możliwości finansowych i czasu, jakim dysponuje — znajdzie dla siebie odpowiednią imprezę. Nie trzeba głowić się nad wyborem miejscowości nad „zdobyciem" pensjonatu czy schroniska, nad znalezieniem najlepszych połączeń kolejowych, nad obliczeniem kosztów — bo wszystko to wykonał już za nas skomplikowany aparat wielkiego biura podróży. Zorganizowano pobyty ryczałtowe w Worochcie, Sławsku, Krynicy, Zakopanem, Zwardoniu i Wiśle w pensjonatach wszystkich kategoryj, każdy więc, według skali swych wymagań, wybrać może pobyt, który mu odpowiada. Ponadto do dyspozycji są pobyty w szeregu schronisk górskich, w szczególności na Kasprowym Wierchu, połączone ze szkoleniem narciarskiem. Ściśle skalkulowane i podane ceny, których rozpiętość jest dość duża, pozwalają z góry zorjentować się w kosztach zamierzonego wyjazdu, co dla każdego niemal posiada decydujące znaczenie.

Drugi dział programu zimowego stanowią wycieczki narciarskie, dłuższe i krótsze, oraz wycieczki week - endowe, organizowane przez wszystkie Oddziały „Orbisu" do wszystkich ośrodków górskich; z listy tych około stu wycieczek urozmaiconych różnego rodzaju atrakcjami, każdy wybierze niewątpliwie imprezę odpowiadającą mu terminem i ceną.

Broszura „Zima w górach" kusi swą białą okładką, która przywodzi na pamięć śnieżną biel Karpat. Kto wybiera się w góry — niech przerzuci najpierw tę broszurkę. A kto się nie wybiera, niech też przerzuci jej kuszące kartki — to się wybierze!



Kolejką na Kasprowy



Wśród śniegu i słońca.

NUMER SPECJALNY „TURYSTYKI" DLA ZAGRANICY.

Pracując stale nad propagowaniem turystyki polskiej wśród cudzoziemców, Polskie Biuro Podróży Orbis wydało w grudniu roku ub. specjalny numer „Turystyki", poświęcony sezonowi zimowemu w Polsce, z tekstami w językach francuskim i niemieckim.

Numer wyszedł w podwójnej objętości i został rozkolportowany zagranicą w szeregu krajów europejskich za pośrednictwem placówek zagranicznych Orbisu. Tym sposobem publiczność podróżująca, sportowcy i turyści obcy zostali poinformowani o polskich stacjach zimowych, o imprezach sportowych i mistrzostwach w sezonie 1937, otrzymali krótki opis walorów turystycznych Karpat polskich, wiadomość o kolejce linowej na Kasprowy, oraz programy szczegółowe kolejowych raidów narciarskich, kalendarzyk imprez zimowych w Polsce, programy zwiedzania Krakowa i Warszawy i t. d.

Wygląd wydawnictwa bardzo estetyczny: piękna okładka, liczne zdjęcia fotograficzne.

Drugiem wydawnictwem dla zagranicy jest „Kalendarzyk imprez zimowych w Polsce" w 3-ch językach: francuskim, angielskim, niemieckim, bogato ilustrowany zdjęciami zimowemi; artystycznie wydany. *W. S.*

CO ZAPEWNIA

Wkładcom oszczędnościowym

K.K.O. MIASTA ST. WARSZAWY

TRAUGUTTA 5

BIELAŃSKA 8.
TARGOWA 65.
BAGATELA 14.

1. stuprocentowe **bezpieczeństwo i terminowy zwrot** wkładów, **gwarantowane:** a) kapitałami własnymi, aktywami Kasy, **rezerwami** i ostrożną gospodarką Kasy, b) całym majątkiem Gminy m. st. Warszawy. (727 miljonów zł.) i jej dochodami (ok. 90 miljonów rocznie) c) Funduszem Gwarancyjnym K.K.O.
2. ustawowo zapewnioną **tajemnicę** wkładów.
3. korzystną stopę procentową,
4. oprocentowanie liczone **za cały czas,** od następnego dnia po wpłacie do dnia wypłaty wkładu,
5. **dwukrotne** w ciągu roku dopisywanie procentów do kapitału, dokonywane w książeczkach **odręcznie po ich przedstawieniu,** poczynając już od 2 stycznia i 1 lipca,
6. możność lokaty uciułanej kwoty **w złotych w złocie,**
7. **zwolnienie odsetek** od wkładów **od podatku** od kapitałów i rent,
8. prawo składania książeczek oszczędnościowych K.K.O. miasta st. Warszawy w urzędach i przedsiebiorstwach **na kaucje i wadia na równi z gotówką,**
9. prawne **zwolnienie od egzekucji** wkładu na książeczce do sumy 2.500 zł,
10. swobodny wybór książeczek: a) imiennych, b) na **okaziciela,** c) za hasłem,
11. **możność otrzymania pożyczki na dogodnych warunkach,**
12. **ochronę kapitału** przed pożarem, kradzieżą i t. p.,
13. niezależność osobistą i podstawę dobrobytu,
14. rozwój gospodarczy Stolicy oraz niezależność ekonomiczną Kraju.

WKŁADÓW PONAD 110 MILIONÓW ZŁ.

HOTEL BRISTOL W WARSZAWIE

S P Ó Ł K A   A K C Y J N A



Krakowskie Przedmieście 42|44
Telefon 551-60 Adres Telegraf.

BRISTOL WARSZAWA

250 nowoczesnych pokojów od 8 zł. za dobę.
80 pokojów z łazienkami
Woda bieżąca zimna i gorąca oraz telefon w każdym pokoju

RESTAURACJA

DANCING

COCKTAIL — BAR

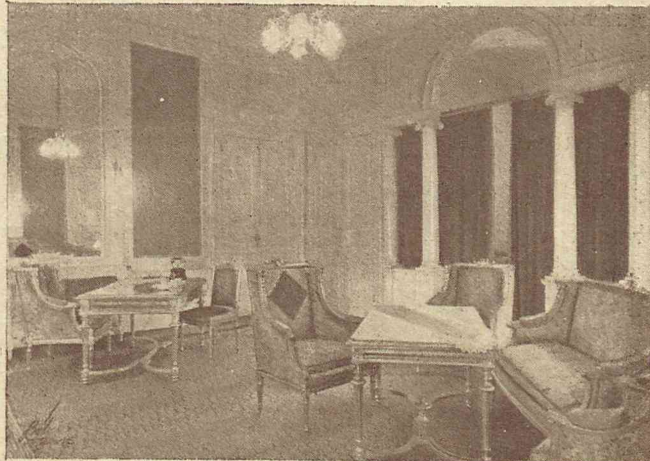
OGRÓDEK

CENY NISKIE



Sala restauracyjna

fot. Bil.



Jeden z apartamentów

CZY PANI WIE, ŻE...

...gwiazdom filmowym nie wolno mieć sztucznych zębów. Bo światło jupiterów natychmiast zdradza ich kolor. W wypadku, gdy ząb własny trzeba wyrwać, gwiazda ekranu poprostu wstawia na to miejsce — ząb naturalny. Cudzy, jeszcze „żywy". Naturalnie dobrze za taki ząb płaci.

W ten sposób po „dawcach krwi", sprzedających swą krew do transfuzji, powstał nowy zawód: dawcy zębów. Niestety — zębów się ma tylko 32, a krwi bardzo wiele — bo ubytek regeneruje się szybko u człowieka zdrowego. Nic dziwnego, że krew do transfuzji kosztuje coraz taniej — zęby natomiast są jeszcze ciągle — „ na wagę złota". (O ile cała ta historja nie jest tylko dziennikarską kaczką...)

■

WYKWINTNE TRYKOTAŻE.

stały się niezbędnym składnikiem garderoby nowoczesnej pani. Są przecież niezastąpione, eleganckie, wygodne i ciepłe. W domu i w biurze, podczas podróży i sportów — trykotowa suknia, komplet, pullover, czapeczka, rękawiczki i bielizna — są nam konieczne.

Znana fabryka trykotaży

JAN MATUSZEWSKI

rozwijając coraz szerszą działalność dzięki olbrzymiemu powodzeniu u klijenteli, otworzyła waśnie piąty swój sklep w Warszawie. Zapamiętajmy te adresy:

Marszałkowska 102.
Marszałkowska 56.
Marszałkowska 154.
Chmielna 33.
Nowy Świat 40.

...srebra stołowe są piękne, gdy są idealnie błyszczące. Można samej w domu spreparować sobie ściereczkę specjalną do nadawania połysku wszystkim przedmiotom metalowym. Oto przepis. Flanelową ściereczkę nową, taką, jak np. od kurzu, zanurzyć w roztworze zwykłej soli kuchennej, biorąc na litr wody 20 deka soli. Nie wyżymając, zawiesić na drążku i wysuszyć. Gdy wyschnie zanurzyć ją w wodzie mydlanej — (czystej, w której niczego nie myto ani nie prano!). — Znów zawiesić na drążku i wysuszyć. Gdy jest już zupełnie sucha — ściereczką taką wycierać „do glansu" wszelkie metale. Będą jak lustro.

■

...W najbliższym czasie „Świat" zacznie drukować cenne rady i wskazówki z dziedziny kosmetyki, p. Zoji Wasilewskiej, właścicielki znanego Salonu Kosmetycznego. Podręcznik pani Zoji zainteresuje niewątpliwie każdą z pań.

■

Na to, aby podłoga była naprawdę ładna, trzeba ją starannie utrzymać w czystości i froterować co tydzień a już conajmniej co 2 tygodnie odpowiednią pastą.

Radzę stale używać doskonałej i niezrównanej pasty firmy Dobrolin, która istnieje w kilku kolorach, i nadaje podłodze piękny i szlachetny połysk. Próbowałam tej pasty nietylko na wykwintnych warszawskich posadzkach ale nawet na zwykłych wiejskich podłogach z prostych heblowanych desek.

Froterowane farbującą zaprawą Dobrolin, nabierają koloru i blasku równie pięknego, jak najkosztowniejsze posadzki.

CZY ZŁOŻYŁA JUŻ PANI SWĄ OFIARĘ W NATURZE NA POMOC ZIMOWĄ? POTRZEBA WIELE CIEPŁYCH UBRAŃ...

■

...mąż wybiera się na polowanie. A pani się martwi, że on „znów naturalnie nogi przemoczy i wróci z katarem". To niech mu pani pomoże. Trzeba buty do polowania uczynić nieprzemakalnemi — przez pendzlowanie ciepłym olejem lnianym.

■

...na święta każda z nas chce ładnie wyglądać. Dam paniom niezawodny adres. PAN WACŁAW bardzo artystycznie czesze, stosując rodzaj uczesania do typu urody klijentki. A PANI MIRA niezwykle wykwintnie i delikatnie robi manicure. Gdzie? w Zakładzie Fryzjerskim W. PIASECKI i S-ka Nowy Świat 28.

■

...kamizeleczka futrzana — nawet z taniego futra — świetnie zmodernizuje taką już nie najnowszą sukienkę. Zapnie ją pani na dwa duże guzy, na spódniczce da z tegoż futra dwie małe trójkątne kieszonki — i ręczę że nikt nie pozna już trochę obnoszonej sukienki. Bo futra są w dalszym ciągu szalenie modne wszędzie, o każdej porze i w każdej postaci.

Z POMNIKÓW NOWOCZESNEJ WARSZAWY



Powyżej:

Pomnik ku czci poległych saperów
(dłuta Mieczysława Lubelskiego)



Zdjęcie obok:

„Macierzyństwo" w parku Traugutta
(dłuta Wacława Szymanowskiego)

LUDZKIE NAŁOGI I WALKA Z NIMI

Gdy ktoś przesadza w okazywaniu skłonności w pewnym kierunku, mówi się o nim zazwyczaj, że ma on na tym punkcie „zboczenie". Zboczenia te przybierają nieraz formy wręcz chorobowe i stają się wówczas przedmiotem badań psychiatrów; istnieje jednak inna, wyrażająca się w nieco łagodniejszej formie, kategorja „zboczeń" — tak zwane namiętności i nałogi. Szkodliwość ich jest względna i uzależniona od stopnia ich napięcia u podlegających im poszczególnych jednostek.

Stosowane tu i ówdzie próby wykorzenienia pewnych najbardziej rozpowszechnionych nałogów nie dały spodziewanych rezultatów; właściwie wyniki były albo żadne, albo też wprost przeciwne zamierzonym. Wszyscy przecież mamy w pamięci niebywałe fiasco, jakie spotkało osławioną prohibicję alkoholową w Stanach Zjednoczonych A. P., pomimo olbrzymiego nakładu sił, środków materjalnych, propagandy i surowych kar. Zamiast zmniejszenia się przestępczości i demoralizacji, jakiej się spodziewano, osiągnięto powstanie nowych typów zbrodniarzy tworzących potężne organizacje, które teraz jeszcze nawet zatruwają atmosferę wielkiej republiki amerykańskiej i zuchwałością swoją przewyższają wszystko, co zdołali wyimaginować najbardziej pomysłowi autorzy romansów kryminalnych.

Stara Europa, jako bardziej doświadczona, potraktowała odrazu sceptycznie eksperyment swej młodszej siostrzycy. Jedynie w Finlandji stosowano przez dość długi czas system prohibicyjny względem napojów alkoholowych. W kilku krajach poza tym wprowadzono dla wyszynku szereg ograniczeń prawnych, nie mających jednakże w praktyce znaczenia istotnego. Lwia część państw europejskich natomiast hołduje systemowi reglamentacyjnemu, który przybiera wielce urozmaicone formy i stosowany bywa z różnym powodzeniem.

Jeżeli chodzi o Polskę, to sprawę walki z najbardziej rozpowszechnionymi nałogami, jak picie alkoholu, palenie tytoniu, pociąg do gry — ujęło całkowicie w swe ręce państwo, stwarzając monopole: spirytusowy, tytoniowy i loteryjny. Skoro bowiem doświadczenie uczy, że całkowite wykorzenienie nałogów ludzkich jest niepodobieństwem, należy przynajmniej możliwie stępić ostrze ich szkodliwości i stworzyć z nich źródło korzyści publicznej.

Wyobraźmy sobie, coby się stało, gdyby nagle z jakichkolwiek powodów, przestała istnieć Polska Loterja Państwowa? Czyby te kilkakroć sto tysięcy osób, które dziś wykupują losy loteryjne, przestało wogóle grać? Napewno nie! Znalazłyby one niewątpliwie sposoby dania ujścia swym namiętnościom, tylko, że sposoby te byłyby w skutkach niesłychanie szkodliwe zarówno dla samych graczy, jak i dla całego społeczeństwa. Potajemne domy gry mnożyłyby się jak grzyby po deszczu i najliczniejsza nawet policja nie mogłaby sobie dać z nimi rady. Nie będzie to wcale przesadą, jeżeli powiemy, że brak Loterji Państwowej stałby się jedną z najcięższych klęsk społecznych.

Dziś natomiast, wykupując los loteryjny i zadowalając w ten sposób swój podświadomy pociąg do gry, obywatel przestaje być godnym politowania nałogowcem, zdobywa łatwy sposób poprawienia sobie bytu, a nawet zbogacenia się, jednocześnie zaś przyczynia się do zasilenia zasobów Skarbu Państwa, który jest przecież wspólnym dobrem całego narodu. Odbywające się co miesiąc ciągnienia, dają mu te wszystkie możliwości dwanaście razy do roku. Normalnemu człowiekowi tak częste emocje wystarczą, zwłaszcza, gdy wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę.

A wiara ta nie powina go nigdy opuszczać, bo jak mówi przysłowie: „Kto ma nadzieję" — z biedy się śmieje".

M. ZOSZCZENKO.

Z KSIĘŻYCA SPADŁ

1.

Przez te ostatnie dwa lata — to życie bardzo się zmieniło. Głównie, ciekawa rzecz, zanikło prawie złodziejstwo.

Wszyscy stali się jacyś-to spokojni, zdrowo myślący. Kradną mało. I łapówek wcale nie biorą.

Wprost — pióro satyryka wkrótce zardzewieje.

Naturalnie, a propos łapówek, sprawa przedstawia się inaczej.

Łapówek nie biorą, ale pieniądze w inny sposób zdobywają.

Dawno już temu, na Południu, spotkałem się ja z jedną taką przebiegłością.

I, ot, życzę sobie oświetlić tę sprawę, żeby drugich ostrzec.

Jednym słowem, w pewnym hotelu chcieli za numer zedrzeć ze mnie wjazdowe. Innemi słowy — chcieli łapówkę wziąć.

Rozumie się, dawniej, kilka lat temu, na ten prosty temat, napisałbym, dajmy na to, takie opowiadanie.

2.

Znaczy się, bracia, jadę ja na parostatku. No, naokoło, rozumie się, Czarne morze. Piękność nieziemska. Skały. Orły, naturalnie, latają. Co jak co, ale orły muszą być obowiązkowo.

Patrzę na tę piękność i czuję jakiś zachwyt i podziw dla ludzi. — I ot, myślę, — człowiek — władca życia i chce—

na parostatku jedzie, chce — na orły popatrzy, albo zaraz na brzeg zejdzie i w hotelu się umieści.

I tak jakoś-to radośnie mi na duszy. Tylko, naturalnie, jedna myśl nie pozwala cieszyć się.

— Gdziebym tu, myślę, zaraz po przyjeździe, chociaż jakiś parszywy numerek mógł dostać!

I płynę tak smutny na parostatku, aż tu kapitan do mnie mówi: — Po prawdzie, mówi, miły człowieku, żal mi na was patrzeć. No i dokąd wy jedziecie? Na co liczycie? Czyście z księżyca spadli?

— A, o co chodzi? — pytam.

— E, nic, mówi, ja tylko tak sobie. Czy wy jesteście dziecko? Gdzież się zatrzymacie? Pocożeście pojechali!? Ja nawet zgadzam się parostatek z powrotem zawrócić, żebyście tylko tam nie jechali.

— Ależ o co idzie — mówię — zmiłujcie się!

— Jakto o co? — albo wy macie znajomych, żeby numer dostać, albo wasz mleczny brat jest portjerem?! — Ja, mówi, wprost okropnie się wam dziwię.

— No, mówię, było nie było, znam, mówię, jedno takie kogucie słowo, wobec którego w hotelu wszystko pójdzie gładko.

Kapitan mówi: — A, to z was djabeł! Moja rzecz — uprzedzić — a wy róbcie jak chcecie. Choć z parostatku w dół skaczcie.

I tak, znaczy się, przyjechałem.

W rękach mam dwie paczki. Jedna — zwyczajny sowiecki koszyczek, na który i spojrzeć nie warto, za to druga — bardzo taka przepyszna fibrowa, albo raczej skórzana walizka.

Koszyczek zostawię u sprzedawcy gazet, wywrócę na lewą stronę moje gumowe międzynarodowe palto, z podszewką w kratę, a samym już wyglądem oraz międzynarodową walizką napewno zdobędę miejsce w hotelu.

Szwajcar mówi:

— Napróżno wchodzicie — numerów niema!

Ja zaś, jakby nigdy nic, podchodzę do portjera i mówię łamanym językiem: — Aju szambr — cimmer, mówię, jawol?

Portjer mówi: — Świecie ty Boży! nic, tylko cudzoziemiec do nas zawitał. I sam odpowiada także łamanym językiem:

— Jawol, jawol. Ona szamber, cimmer, w zupełności jawol. Bitte — dritte w tej chwili. Zaraz wybiorę numer, jaknajlepszy i gdzie najmniej pluskiew.

Ja stoję w nadętej pozie, ale łydki mi drżą.

Portjer, znawca, chętnie rozmawia w cudzoziemskim języku. Pyta:

— Pardon, mówi — pan, przepraszam, wu zet Germanja, oder może być co innego?...

— Niech diabli wezmą, myślę, — a może on, cholera, po niemiecku rozumie?

— No, mówię, — ich bin ajne szamber — cimmer Ispanja. Komprene? Ispanja. Padespan. Camarilla.

O, tutaj portjer zupełnie zgłupiał.

— Świecie ty Boży! mówi, nic tylko do nas hiszpana przyniosło. — W tej chwili, mówi, jakże a jakże, mówi, — wiem, słyszałem. Hiszpanja, padespan, espanjolka...

I jemu samemu, widać, ręce się trzęsą. I mnie się trzęsą. Tak my obaj rozmawiamy i trzęsiemy się.

Ja mówię łamanym hiszpańskim językiem:

— Jawol, mówię, bitte — cirbitte, nieście, mówię, prędzej walizkę do mojego numeru. A po tym, mówię, pogadamy.

— Jawol, jawol, odpowiada portjer, nie nerwujcie się.

Widzę, że handlowa strona bierze u niego górę.

— Płacić — to jak — mówi — będziecie? — Inwaliut, oder pomimo wszystko naszymi?

I robi palcami znaki, zrozumiałe dla przyjezdnych cudzoziemców: zera i jedynki.

— Ja, mówię, tego akurat nie rozumiem. Nieś, mówię, cholero, walizkę prędzej.

Niech tylko zobaczę numer, myślę, po tem niech i robią ze mnie ciasto.

A on chwyta moją walizkę, tak energicznie łapie, że walizka, mając słabe zamknięcie, otwiera się.

Otwiera się moja walizka i naturalnie, wywala się z tamtąd, poprostu mówiąc, różne drańśtwo. Bielizna połatana, półkalesony, mydełko „Kił" i inne diabelstwo.

Portjer spojrzał na to bogactwo, pobladł i od razu wszystko zrozumiał.

— Ach, ty, mówi, podlecu, pokaż dokument.

Ja mówię: — Nic nie rozumiem. A jeżeli mówię, numeru nie ma, to sobie pójdę.

Portjer mówi do szwajcara:

— Widzieliście? Ten drań chciał przejść pod zagraniczną flagą.

Zbieram więc prędko mój majątek i uciekam.

A w innym hotelu jednakowoż numer dostałem.

W ten sam sposób, plus 50 rubli.

3.

Ot, jak przed trzema, czterema laty na taki łatwy temat napisałbym opowiadanie.

No, naturalnie — młodość. Pewność siebie. Głupkowaty pogląd na rzeczy.

Dzisiaj już jakoś inaczej. Dziś dąży się do prawdy. Nie ma się chęci wyolbrzymiać, zmyślać, przekręcać. Nie ma się chęci tworzyć różnych bajeczek i fars z przebieraniem się. Jednym słowem każdy stara się być prawdomównym, nie kłamać i nie blagować.

A opowiadanie na podobny temat, rzeczywiste, prawdziwe zdarzenie, bez ozdób, bez jednego zmyślonego słowa, samo się wysnuje w takiej oto, akademickiej, postaci.

4.

Wprost z parostatku udałem się do hotelu.

Portjer, krzywo się uśmiechając, mówi, w przestrzeń raczej — niż do mnie:

— No, wiecie, ja się wprost dziwię naszej dzisiejszej publice. Jak tylko przychodzi parostatek, to wszyscy wprost do nas. Jakby naumyślnie. Jakby to u nas były dla nich numery zamówione. Coście wy z księżyca spadli? Nie rozumiecie sytuacji.

Ja chcę odejść, ale szwajcar, cichutko wzdychając, mówi mi: — Ach! wiecie, wprost bieda z tymi numerami. Nigdzie niema numerów. U nas — to naturalnie, znalazłby się, ale... porozmawiajcie dobrze z portjerem.

— Czort weź, mówię, o czym mam rozmawiać?

Portjer ze swojej dyżurki mówi do szwajcara przez moją głowę:

— Ja się wam dziwię, Teodorze Michajłowiczu. Gdzie u nas są wolne numery? Skąd wyście to wzięli? Naturalnie jest jeden numer, ale on, wy przecież wiecie, bez klucza. Jeśli chce — niechaj bierze.

Ja mówię: — Dajcie i bez klucza.

— Ach, bez klucza, mówi portjer, bierzcie! Tylko u nas złodziejstwo. Kradną. A my będziemy odpowiadać.

Ja mówię: — W ostatecznym razie nie będę z numeru wychodził. Tylko dajcie wejść. Tak mnie morze wykołysało, że ledwie stoję.

— No tak, mówi portjer, ale tam wejść nie można. Zamknięte. I klucza brak.

— Zmiłujcie się, mówię, na co mi taki numer, do którego wejść nie można...

— Nie wiem, mówi portjer, jak chcecie.

Szwajcar podchodzi do mnie i mówi: Ja bym mógł znaleść radę.

Daję mu trzyrublówkę.

— Merci, mówi, jeśli chcecie, pobiegnę na podwórze. U nas tu pracuje ślusarz. On może wytrychem otworzyć wasz numer.

Ot i przychodzi ślusarz.

— Tak, mówi, naturalnie, w tym cała rzecz, jeszcze by nie! Jasne. Drzwi otworzyć — sprawa kopiejkowa, ale dla mnie, mówi, za mały zysk, żeby wchodzić na górne piętra. Ja, mówi, każdą godzinę swojego czasu literalnie na walutę liczę.

Daję mu, ślusarzowi pięć rubli.

On otwiera drzwi wytrychem i przyjacielskim tonem mówi:

— Tak, naturalnie. Jeszcze by nie! Jasne! Bez klucza nieciekawie mieszkać. W każdym razie napewno zachce wam się jeść albo dokądś niebądź wyjść wódeczki popić, a tu siedź jak bałwan.

— Tak, mówię, choćby człowieka nająć.

— No to, mówi, rozleci się wam parę kopiejek, a ja, mówi, za osiem rubli sklepałbym wam jaki bądź kluczaszek ze starych.

I ot, klucz dobrany. Leżę sobie na łóżku, jak jaki fon-baron. Słucham patefonu z sąsiedniego numeru — śpiewa pan Wierciński. Spaceruję i chodzę sobie to tu, to tam i ze swoim kluczem czuję się równym sąsiadom.

Wieczorem idę na spacer, a portjer mówi:

— Wiecie, my wam tym kluczem zawrócili głowę. Myśleliśmy, że zgubiony, a on najspokojniej wisiał na drugim gwoździu.

— Zdrowo, mówię, ten numer mnie kosztuje. Niby pięć rubli a różnych wydatków aż szesnaście.

— Jakto, mówi on, nie osiem — tylko szesnaście?

— Nie, mówię, szesnaście. Szwajcarowi — trzy, ślusarzowi — pięć, no i za klucz — osiem.

— Za jaki klucz?

— Tak, mówię, ślusarz mi go dobrał.

— Pozwólcie, mówi, czy on czasem, podlec nie sprzedał wam naszego klucza? No tak, mówi, tak i jest. Ot, tutaj wisiał, a teraz niema. No, poczekajcie, ja jemu...

— Tutaj u was, mówię, zdaje się szajka złodziejska. Portjer zaczął coś tam kłamać i mruczeć o małych zarobkach, potem machnął ręką i odwrócił się by porozmawiać z jakimś przyjezdnym. Słyszałem jak powiedział: — Tak, jest jeden numer, ale bez klucza.

Wkrótce wyjechałem z tego hotelu.

Mówiąc między nami myślałem, że i z kolejowymi biletami będzie taka sama historja i takie same poboczne wydatki, ale okazało się, że nic podobnego. Bilet dostałem przez znajomość i zapłaciłem za niego tylko tyle, ile kosztował normalnie.

W ten sposób wróciłem z Południa w pełnej równowadze ducha.

Tłum. *Włodzimierz Łukasik*

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. Zofja z Chrzanowskich Rowecka

W tych dniach zmarła w Warszawie ś. p. Zofja z Chrzanowskich Rowecka. Urodzona w roku 1864 w Dzierzążnie w powiecie łęczyckim znaczną część życia swego spędziła w Piotrkowie. Zmarła od wczesnej młodości brała żywy udział w życiu patrjotycznem, w organizacjach oświatowych i społecznych. Przed rokiem 1905 w tajnych kółkach młodzieży wykładała język polski i historję Polski. Od chwili wybuchu strajku szkolnego ś. p. Zofja Rowecka bierze czynny udział w organizowaniu tajnych zebrań, a następnie w akcji bojkotowej i pomocy organizowanej dla młodzieży strajkującej. W latach następnych popierała ówczesny ruch niepodległościowy, a przed rokiem 1914-ym energicznie działała w zorganizowanej pomocy dla więźniów politycznych. Od roku 1914 do 1917 była członkiem Ligi Kobiet, gdzie razem ze ś. p. Marją Piłsudską, Wandą Grabowską, Izą Moszczeńską ś. p. Heleną Trzcińską brała czynny udział w akcji pomocy Legjonom. Legjonom bliskim jej sercu nietylko ideowo, ale i najściślej bezpośrednio, gdyż oddała im obydwuch synów swoich, walczących na froncie. Serce działaczki i matki często wystawione było na ciężkie próby, gdyż starszy syn był ranny trzykrotnie, a młodszy ranny raz, ale bardzo ciężko.

Ś. p. Zofja Rowecka należała do tych działaczek polskich, co pracowały bez rozgłosu dla spraw narodowych: zawsze ofiarna, gotowa do narażania się i poświęcenia. Wierna swej rodzinnej tradycji, mając zarówno ze strony ojca, jak i matki śp. Melanji z Ulatowskich dziadków oficerów napoleońskich, oraz z lat 1830 i 1831, wychowała synów w atmosferze idei niepodległościowej, a sama w walce z obcym najazdem nie skąpiła swych sił i czasu.

Wśród najbliższych, jak i wśród tych, co z pracą i działalnością jej się zetknęli, zostawiła po sobie najczulsze wspomnienie i szczery, gorący żal.

KSIĄŻKI SZARYCH LUDZI



Jednym z charakterystycznych zjawisk dzisiejszej literatury powieściowej, jest występowanie autorów, którzy nie są zawodowymi pisarzami, lecz pracują w innych, nieraz bardzo skromnych dziedzinach. Daje to ich książkom żywy kontakt z życiem, wzbogaca materjał powieściowy, toruje drogę nowym tematom.

Tembardziej pilnie śledzić należy za każdym nowym autorem, rekrutującym się ze świata pracy. Tegoroczny plon gwiazdkowy przynosi kilka debjutów tego typu i nasuwa szereg refleksyj, dalekich jednak od pretensyj do uogólnień.

Stanisław Łukasiewicz napisał powieść o szkole, p. t. *„Nauczyciele" (Hoesick, Warszawa 1936)*. Tym razem mowa jest o szkole średniej. Rzecz pozbawiona zupełnie walorów literackich stanowi jednak interesujący dokument społeczny i zawiera wiele materjału wartościowego dla każdego, kogo obchodzi stan naszego szkolnictwa i życie młodzieży.

Młody, świeżo upieczony polonista dostaje posadę w prowincjonalnem gimnazjum prywatnem i z zapałem zabiera się do pracy. Niebawem okazuje się, że wysiłki jego, idące po linji nowych metod i państwowych wskazań, napotykają opór ze strony strupieszałego dyrektora i powolnej mu nauczycielskiej kliki. Donosicielstwo, wstecznictwo, klerykalizm i obłuda rządzą w ciele pedagogicznem, ulegającem wyraźnemu rozkładowi. Gdy w tem gronie znajduje się jednostka wybitniejsza i śmielsza, a jest nią wyznaczony przez kuratorjum matematyk — wybucha walka pomiędzy nowemi a staremi żywiołami w szkole, walka, która mimo pewnej lecz krótkiej i niedość silnej interwencji ze strony kuratorjum, kończy się zwycięstwem dyrektora-mamuta i jego popleczników, a pozbawieniem pracy dwóch najzdolniejszych i jedynie współczesnych nauczycieli w gimnazjum.

Łukasiewicz żywo i trafnie opisuje zaobserwowane i zapewne osobiście przeżyte fakty i sprawy. Jest to historja jakich wiele, lecz mimo to, a raczej właśnie dlatego zasługująca na opisanie. Wady szkoły prywatnej, a więc protekcjonizm, sabotowanie wskazań państwowych, przy jednoczesnem podlizywaniu się władzom, zależność od zamożniejszych rodziców i t. p. zostały tu podkreślone. Autor jednak nie posiada dość talentu, by porwać i wzruszyć czytelnika, udaje mu się jedynie go zainteresować.

Sylwetki starych nauczycieli w książce stanowią galerję typów już dostatecznie zbanalizowaną przez powieść i scenę. Natomiast główny bohater,

młody nauczyciel, posiadający sympatję autora, ma być postacią nową a charakterystyczną. W gruncie rzeczy przekonywująco odtworzone są tylko warunki jego życia — mianowicie nędza i przepracowanie. On sam jednak zamiast sympatji, budzi raczej smutne refleksje...

Ładowski przyjeżdża wprawdzie na prowincję z pewną dozą zapału, ale nie posiada głębszych zainteresowań naukowych i pedagogicznych. Inteligencja jego jest płytka, a charakter nasuwa duże zastrzeżenia. Poprostu podejrzewamy go zlekka, że jeżeli zachowuje się na razie przyzwoicie w strupieszałej szkole, to nie z zasady, lecz z naiwności i że to się lada chwila może zmienić...

Co jednak najbardziej niesmaczne jest w tym bardzo przeciętnym człowieku, to nadmiernie rozbudzony erotyzm, czujny nietylko wobec każdej spotykanej dziewczyny, ale i wobec własnych uczniów w klasie. To też nędza nauczycielska najwięcej boli Ładowskiego, dlatego, że przeszkadza mu ona należycie się wyszumieć, a tembardziej ożenić. Wobec braku wybredności jego w tej dziedzinie, czego daje liczne dowody, nie jesteśmy w stanie mu współczuć... Sądzimy też, że wychowawcy młodego pokolenia przystoi mniejsza gwałtowność i więcej dobrego smaku.

Sprawa ta szkodzi w oczach czytelnika nietylko bohaterowi, — lecz całej książce, nadając jej często charakter przykrej pornografji.

Dlatego też przy czytaniu powieści Łukasiewicza ogarnia nas większy jeszcze pesymizm, niż ten, który chciał nam narzucić autor. Bo, że stare nauczycielstwo w prywatnej szkole nie jest na wysokości zadania, to przykre, ale ostatecznie nie najważniejsze. Ale jeżeli młody nauczyciel i to taki, który odgrywa rolę skrzywdzonego bohatera, ma być podobny do pana Ładowskiego, to dowodziłoby, że naprawdę źle się dzieje w naszej szkole. A już całkiem niedobrze wygląda autor, któremu się taki „typek" podoba...

Ustawiczne podrażnienie seksualne, węszący i szmatławy erotyzm spotyka się zresztą obecnie wciąż w powieściach pisanych przez młodych, średnio utalentowanych mężczyzn. Czytelnikowi wychowanemu na dziełach pisarzy minionego okresu trudno jest pogodzić się z tem zjawiskiem. Zdawałoby się, teoretycznie biorąc, że jest ono sprzeczne z duchem epoki, w której tak wielką rolę odgrywa sport i wychowanie fizyczne, a która w zakresie obyczaju zdobywa się bądź co bądź, choć bardzo po cichu, na małżeństwo koleżeńskie. Tymczasem dzieje się tak, jakby właśnie teraz niezaspokojony erotyzm zalewał życie człowieka więcej niż kiedykolwiek. Nie trzeba się jednak dziwić tym przejawom. Pamiętajmy, że powieść jest dziś rodzajem uprawianym tak szeroko, jak nigdy i że wskutek rozpowszechnienia się w nim reportażu nietylko poeci i artyści mają głos. „Szary człowiek" zaś, pociągając za sobą do literatury pospolitość przeciętnego życia wraz z jego plugastwem, niezawsze posiada wielkość prawdziwego talentu, która jedynie zdolna jest wszelkie męty przejaśniać i klarować. Stąd może wrażenie, że dziś amor o nieczystych skrzydełkach panoszy się więcej niż kiedykolwiek.

Stefanja Bądkowska

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Patrzał na nią prawie oschle, tyle myśli dławiło go, szukając rozwiązań.

Chodził po pokoju niepotrzebnie.

— Tobie coś się stało, Willy. Jesteś dziś zupełnie obojętny dla mnie, nawet nie przysuniesz się, a mówisz, że mnie kochasz, kiedy dawniej nigdy tego nie mówiłeś, ale za to czuliłeś się do mnie. Więc co, kochasz mnie?

Willy zbliżył się do niej, wziął w dłonie jej głowę i pocałował ją — w czoło.

Nina parsknęła śmiechem. Śmiała się długo, wesoło, była pewna, że to dowcip.

Baron zajął się herbatą.

— Moja Nino, musimy dziś pomówić o paru sprawach dość niezwykłych, które nas obydwoj-ga dotyczą.

Teraz Nina była pewna, że to będzie coś z polityki.

— Zamieniam się w słuch.

Wpadła w dobry humor. Zasiadła w fotelu.

— Nie mogłem się wcześniej widzieć z tobą, bo był u mnie mój ojciec... Pokazałem mu twoją fotografję.

— Poco?

— Bo bywając dawniej często w Rosji — znał twoich rodziców.

— Co ty mówisz?

— Stwierdził, że jesteś łudząco podobna do matki...

Na języku miał — nieboszczki.

— Bardzo pragnie cię poznać. Ale musiał wyjechać. Zresztą — przyjedzie, gdy zechcę.

Nina śledziła każdy ruch barona.

Herbata była gotowa.

Willy przysunął stolik do kozetki, zaprosił na nią Ninę i sam usiadł tuż przy niej.

Nina obserwowała go ze zdziwieniem, bo jakoś wszystko dziś było inaczej niż zwykle.

— Powiedz mi, Nino, tylko bądź szczera, — bo mam wrażenie, że nie zawsze nią jesteś ze mną. Byłem pewny, że między tobą, a matką twoją był stosunek serdeczny.

— Zawsze był i jest.

Willy odwrócił głowę.

— Więc musiałyście często pisywać do siebie.

— Co tydzień otrzymuję list z Moskwy i sama piszę raz na tydzień.

— Kiedy otrzymałaś ostatni?

— Dlaczego ty się o to pytasz?

— Powiedz.

— Trzy dni temu.

— Z jakiej daty?

— List idzie trzy dni, przychodzi z kurjerem dyplomatycznym.

Willy nie wiedział co myśleć.

— Przepraszam cię, Nino, ale musisz mi dać parę wyjaśnień.

Nina była teraz pewna, że Willy z powagą zabiera się do stwierdzenia różnych personalji w zamiarach matrymonjalnych. Jaki śmieszny! Ach, te przesądy burżuazyjne! Powróciło jej to wesołość, zachmurzoną chwilowo niesamowitemi zapytaniami.

— Śledztwo?

— Tak. Czy istnieje w Moskwie oprócz twojej matki jakaś inna hrabina Fermor, podobna do ciebie, a w wieku twojej matki?

— Absolutnie nie.

— Czy miałaś rodzeństwo?

— Nie.

Otworzyła szeroko oczy. Willy trzymał w swojej dłoni jej rękę.

— Jaka różnica wieku była między twoim ojcem a matką?

— Ogromna. Nie wiem dokładnie, ale *papieńka* był stary, pamiętam, choć byłam maleńka, gdy umarł.

Dłuższą pauzę, jaka mu była potrzebna, wypełnił drobnemi ruchami, bez znaczenia — zdawało się, ale Nina chwyciła ich sens: Willy szukał formy dla jakiejś strasznej treści.

— Willy, męczysz mnie. Mów prędko. Ty coś wiesz o mojej matce.

Spojrzał jej prosto w oczy, najłagodniej jak umiał, całem sercem, całym rozumem.

— Nino, jesteś przecież dorosła, silna. Masz we mnie oparcie... Twoja matka — nie żyje.

Zmarszczyła brwi, chwyciła się za gardło, drugą ręką oparła się mocno o mężczyznę.

— Skąd wiesz?

— Ojciec był w Moskwie ostatnio dwukrotnie. Za pierwszym razem widział się z nią, wypadkiem, po dwudziestu paru latach niewidzenia, a gdy przyjechał drugi raz do Moskwy przed paru tygodniami i chciał się z nią zobaczyć — dowiedział się, że leży na cmentarzu. Zapalenie płuc, czy grypa. Chorowała tylko parę dni.

— Kiedy umarła?

— Teraz już będzie temu miesiąc.

Nina krzyknęła. Dywany, portjery stłumiły krzyk, w którym była nie rozpacz, lecz dzikie oburzenie, nienawiść, zemsta.

— Kto kłamie? Powiedz mi, kto kłamie? Przecież ja od miesiąca trzy listy mam od niej. Ostatni z przed tygodnia.

Willy wstał, blady.

— Kto ci listy doręcza?

— Kurjer.

— Jakto kurjer?

— To jest — właściwie — nie. Poseł. O, masz, ostatni jej list, mam w torebce.

Drżącemi palcami wyjęła zapisane cztery ćwiartki papieru. Podała je baronowi.

Długo patrzał na nieznane mu litery rosyjskie.

— Poznajesz charakter pisma matki?

Nina chwyciła list pośpiesznie. Wpatrywała się w litery badawczo.

— Tak, tak, nie ulega wątpliwości. Fałszował je genjusz, ale fałszował. Ale treść! Co prawda, nic nowego, banalności, tak jakby dawne rzeczy powtarzane. Tak, tak. „Padlecy!" Czytali, kopjowali, fałszowali, „padlecy".

— Coś powiedziała?

— To robota Konspirina. Dymitr to wykonał. „Padlecy".

— Myślisz?

— To nie ulega wątpliwości. Otwierali listy, studjowali, fotografowali i fałszowali. „Mierzawcy, mierzawcy". Ale dlaczego?

Willy chodził i chodził...

— Możesz do nich nie wracać. Nie jesteś rosjanką, a przynajmniej nie zupełnie. Nie mają prawa do ciebie. Możesz adoptować ojczyznę twego ojca. Możesz zostać u mnie. Jesteś moją siostrą.

Nina raptownie wstała, podeszła do barona w największej trwodze.

— Willy, co tobie jest? To, coś powiedział o śmierci mojej matki jest nieprawdą, bo ty majaczysz, ty mówisz bez sensu.

Chwyciła go za ręce.

— Masz gorączkę. Jesteś chory. Co tobie Willy, drogi.

Utopił w niej spojrzenie smutku.

— Nie, moja Nino, jestem zdrów jak bawół, nie mam gorączki i nie majaczę. Siadajmy. Opowiem ci wszystko, tak jak mi mój ojciec powiedział. Matka twoja jest na sądzie Boga, nie będziemy więc wydawali żadnej opinji o tem, co ci powiem, tylko staniemy wobec faktu.

W miarę opowiadania barona Nina, nie spuszczając z niego oka, mieniła się na twarzy co chwila, a jednocześnie jaśniała jak podsądny wysłuchujący wyroku zwalniającego z winy. Miała uczucie rekonwalescenta, który bardzo raptownie powraca do zdrowia. Przerywała mu tylko ciągle — a co, dlaczego, kiedy, jakto — ledwo dążył dopełniać opowiadanie szczegółami.

— Oto masz nagą prawdę. Zrobisz teraz co zechcesz. Mój ojciec gotów natychmiast przyjechać, zeznać ojcostwo, adoptować cię jak córkę. Jestem twoim bratem — przyrodnim. Podzielimy nasz majątek. Możesz korzystać z opieki naszego rządu.

— Nie zaraz, nie zaraz. Muszę wrócić. Nie do Moskwy, nie, ale ja chcę zobaczyć Konspirina...

— Zdradzisz się. On się nie przyzna. Wyślą cię do Moskwy. Przepadniesz.

— Nie, nie, ja go muszę zobaczyć. Muszę mu spojrzeć w oczy.

— Zastanów się Nino, narażasz się na szalone niebezpieczeństwo.

— Nie znasz mnie jeszcze, ja się nie boję.

Drżała.

— Żeby się nie bać, trzeba być mocnym, a ty jesteś słaba. Nie wytrzymasz z nim rozmowy.

— To zginę. Daj mi okrycie.

— Nino, poczekaj, ochłoń z wrażenia. Daj mi słowo, że dziś w żadnym razie z nim się nie zobaczysz. Ja chcę, żebyś żyła, żebyś była szczęśliwa. Kocham cię.

Zpauzował.

— Jak brat.

— Willy.

Oparła się o niego bezsilnie.

— Widzisz, Nino, jesteś słabem stworzeniem.

— Przy tobie. Ale tam, tam ja nad nim panuję.

— Zdaje ci się. Matki już nie uratujesz. Tam jej lepiej. Więc o co ci chodzi? I tak rzeczy swoich zabrać nie możesz. Zostań tu. Ja zamieszkam w hotelu. Za parę dni albo ojciec przyjedzie i zostaniesz obywatelką Niderlandów, albo sami wyjedziemy. Ja ci dam paszport. Radzę ci, ani słowa do Konspirina.

— Dobrze, dobrze, ale muszę wrócić do poselstwa... Przyjdę jutro.

Nie przekonał jej.

I „jutro“ nie wróciła.

Willy pojechał do Zima i opowiedział mu wszystko o ojcu, o Ninie i o sobie.

Pani Johnson była zachwycona swoim pomysłem, że Niemcy mają się wycofać z kongresu. Nazajutrz powiedziała poufnie żonie posła estońskiego, również angielce, że *Inteligence Service* kazało pułkownikowi sprawdzić wiadomość o tem. Żona posła Estońskiego rzuciła mimochodem sekretarzowi poselstwa norweskiego, że z Unji Światowej nic nie będzie, bo Niemcy postanowiły manifestacyjnie przyjechać i jeszcze manifestacyjniej odjechać.

Sekretarz poselstwa Norweskiego spytał się wprost swego kolegi Niemca, czy nie mógłby po jego wyjeździe przejąć jego pięknego apartamentu. Gdy ten zapewnił kolegę, że nie ma zamiaru wyjeżdżać —

— Jakto, powiada Norweg, przecież kolega sam mówił, że go tu przysłali tylko na czas kongresu?

— Tak, ale kongres będzie trwał pewno z rok.

— Oczywiście, ale przecież wy nazajutrz po otwarciu kongresu opuszczacie go.

Niemiec szeroko otworzył oczy.

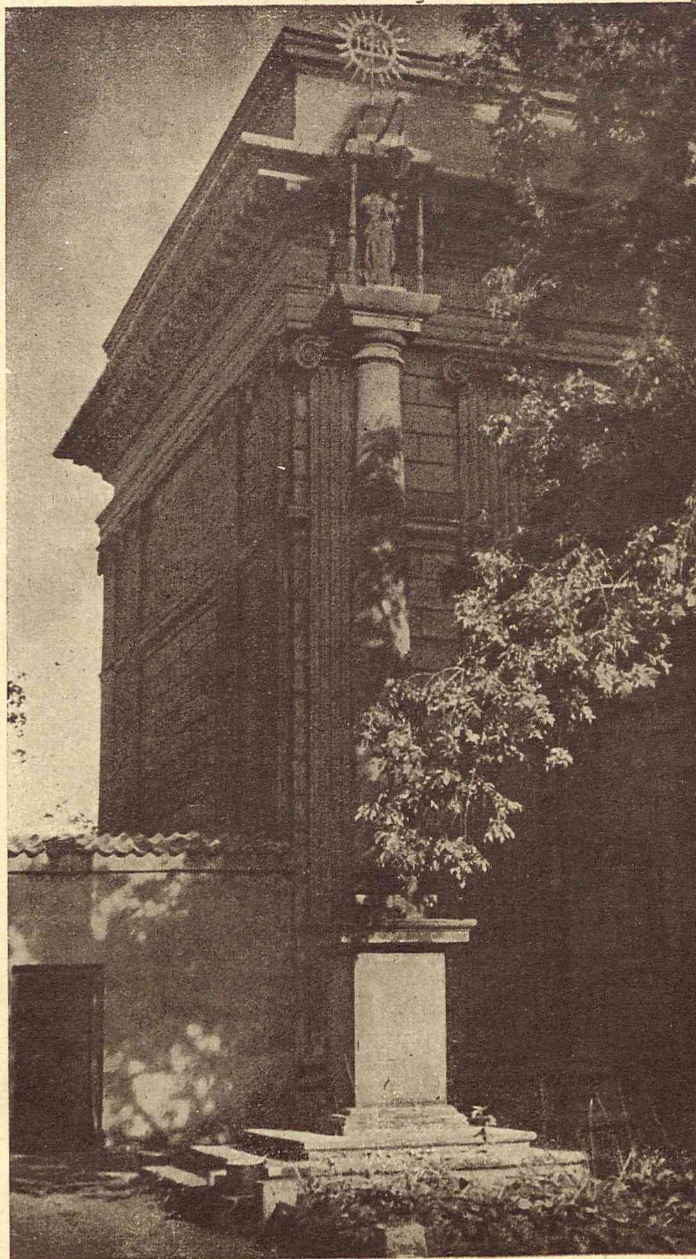
Norweg był nieubłagany.

— No, no, kolego, nie udawajcie, przecież wszyscy wiedzą, że Niemcy manifestacyjnie wycofają się z kongresu.

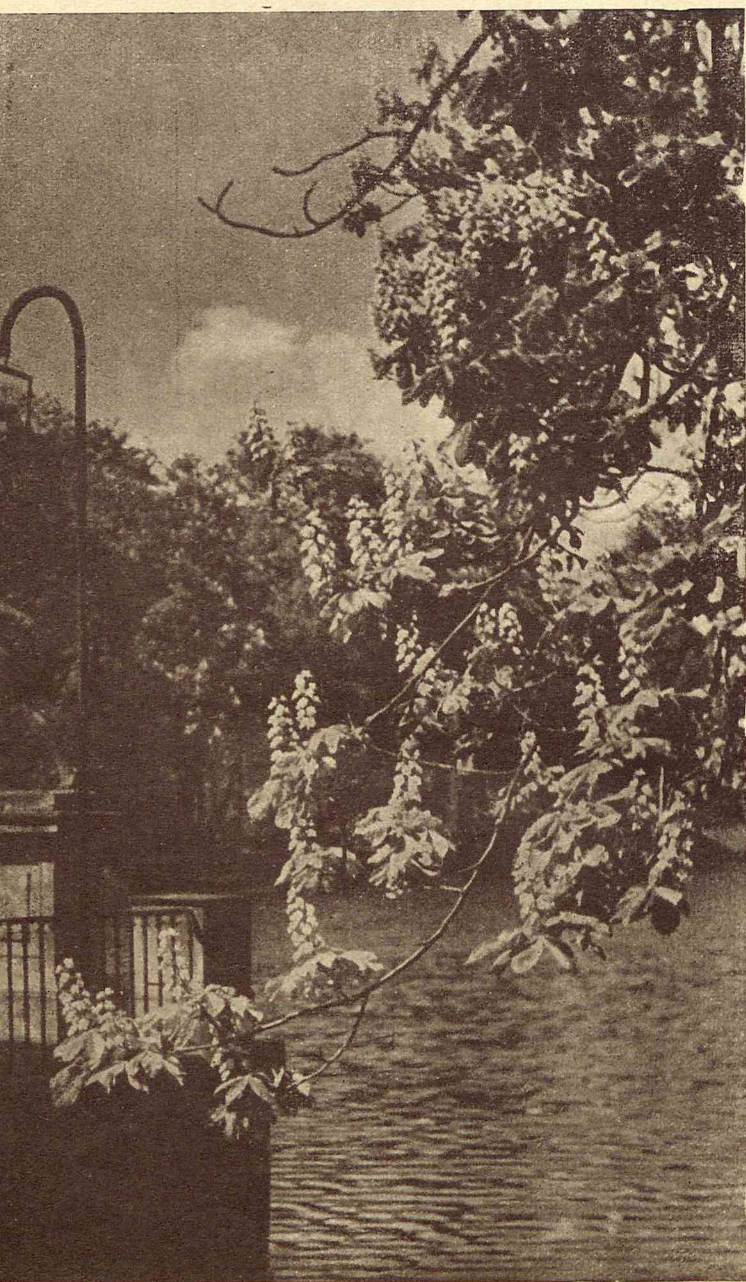
Tegoż wieczora szedł z poselstwa niemieckiego szyfr do Berlina: — „W tutejszych obcych poselstwach otrzymano wiadomość o postanowieniu naszego rządu wycofania się z kongresu nazajutrz po otwarciu stop opóźnienie w powiadomieniu mnie o tem postawiło mnie w fatalne położenie stop jak mam dementować stop proszę instrukcje wallenberg.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

UŚMIECH WARSZAWY
KIEDY KWITNĄ DRZEWA



Kolumna z 1643 roku obok kościoła O. O. Bernardynów, jeden z najdawniejszych zabytków pomnikowych w Warszawie.



Kasztany w Łazienkach

Zdjęcia dr. T. Przypkowski

TEFFI.

ZŁOCISTY DŻEMPER

Przebudziła się nagle, jakby od uderzenia. Zegarek na nocnym stoliku wskazywał godzinę czwartą.

Serce waliło, stukało z pauzami, ręce drżały. Jakiż niepojęty strach wyrwał ją nagle z głębokiego snu?

— Mój Boże! Cóż to? Cóż takiego stało się dzisiaj? — starała się przypomnieć wśród smutku i rozpaczy. — Czy Władzio mnie zdradzi? Nie, coś gorszego.

— Stracił wszystkie pieniądze? Nie, coś straszniejszego... Umarł ktoś bliski? — Nie, też nie, wciąż nie to! Więc co... czem jest to zdarzenie, tragiczne, groźne, najstraszniejsze w świecie?

O-o-o! nagle przypomniała sobie. Dżemper! Dżemper! Żółty dżemper!!

I przycisnąwszy dłonie do skroni, zachwiała się, zajęczała z rozpaczy.

— Nie, nie trzeba warjować, pomyślała nagle. Trzeba spokojnie przemyśleć wszystko jeszcze raz od początku. Przecież to głupstwo! Co się właściwie stało? Stało się to, że kupiłam żółty dżemper.

Lecz w tej samej chwili taka rozpacz ją znów ogarnęła, że musiała wstać, napić się wody, zażyć walerjany i spojrzeć w lustro (nic tak nie uspokaja udręczonej duszy, jak widok znajomej, dobrze usposobionej dla niej twarzy).

— No, a teraz przemyślimy wszystko od początku. Czewieriagina powiedziała mi przez telefon o tej idjotycznej wyprzedaży. Postanowiłam nie chodzić, bo najlepsze już pewno rozchwytali. Czewieriagina powiedziała, że jakaś idjotka kupiła sobie prześliczny turkusowy dżemperek. Odpowiedziałam, że dżemper nie jest mi potrzebny i że nie mam czasu.

Odwiesiłam słuchawkę i pojechałam. Na wyprzedaży zaczęłam szukać turkusowego dżempra, który nie jest mi potrzebny. Turkusowych nie było i wogóle nie było żadnych, oprócz... Oj, znów się zaczyna bicie serca! — Oprócz żółtego. „Złocistego" — powiedziała sprzedawczyni. — No dobrze, niech będzie.

Ona mnie zapewniała, że w tym dżemprze jest mi strasznie do twarzy, i że będzie on cudnie wyglądać z czarną, aksamitną spódniczką.

Dżemper kupiłam, zapłaciłam dwieście franków. Szkoda dwustu franków, ale przecież niema sensu się tak rozstrajać. Idźmy dalej.

Przyszłam do domu, przymierzyłam dżemper i doszłam do wniosku, że jest okropny. Materjał piękny, uszyty wspaniale, ale ja w nim strasznie wyglądam. Twarz robi się od niego bladozielona, ramiona jak u atlety, plecy kurze, a ręce psie. Ale jednak tragedji w tem żadnej niema. Dżemper nie przyrósł mi do ciała i nie składałam ślubu, że będę go nosić. Podaruję komuś. Ale skąd taki smutek i taka rozpacz?

Może dlatego, że materjał jest dobry i kolor ładny, a do mnie nie pasuje? No, czyż mało jest na świecie rzeczy pięknych, które nie są dla mnie... O, naprzykład, Moryś Chevalier. Wszyscy uważają, że on jest bardzo ładny, a między innemi dla mnie on jest zupełnie do niczego. Ale gdyby przysłali mi go do domu, wcale bym nie była zrozpaczona. Najspokojniej w świecie wyrzuciłabym go.

A ten dżemper — to poprostu neurastenja. Neurastenja?—Hm, ale dlaczego nie dostaję jej od niczego innego, tylko od tego żółtego swetra? Bądźmy rozsądni. Widocznie nerwy moje były w takim stanie, że wystarczyło maleńkiej podniety, aby wyprowadzić mnie ostatecznie z równowagi. Podnieta powstała skutkiem nieudanego kupna. Teraz wszystko rozumiem. Trzeba wziąć jeszcze trochę walerjanki i spokojnie zasnąć.

Zażyła jeszcze walerjany, położyła się i już chciała zgasić lampę, gdy nagle, jak błyskawica, uderzyła w nią myśl:

— A co ja jutro zrobię ze swetrem?

I znów rozpacz, strach, smutek, dochodzący do fizycznej duszności.

Usiadła, spuściła nogi na podłogę i rozpłakała się.

*

Przebudziła się późno. Pierwsze uczucie było takie samo. Strach.

— Co ze mną jest?... Ach, tak!

Zerknęła w stronę, gdzie na fotelu spoczywał „on". Sweter.

Prawdę powiedziawszy, ładny kolor, — wyszeptała, i w tej samej chwili przerwała samej sobie z rozpaczą i złością.



Nie, tak żyć nie można. Jeżeli postanowiłam, że ta rzecz jest mi niepotrzebna, to nie wolno o niej nawet myśleć.

Ubrała się szybko i wyszła z domu.

— Na cały dzień. Tak będzie najlepiej. Błąkała się po ulicach, patrzała w wystawy sklepów. W jednej z nich zobaczyła bardzo ładny żółty atłas. Spojrzała nań z zadowoleniem. I nagle jakaś dziwna trwoga ścisnęła jej serce.

— Co mi jest? Co się dzieje?

I nagle:

— O — o! To przecie „ten" kolor! Boże, kiedyż się skończy ta okropność...

Obiad zjadła u Wieroczki Ryczykot. O czem można mówić z Wieroczkami Ryczykot? Oczywiście o strojach.

— Ty, Małgośka, powinnaś sobie sprawić jakiś jaskrawy atłasowy dżemperek, mówiła Wierka. Są teraz bardzo modne.

— Jakoś mi się nie chce, odrzekła Małgosia i poczuła, jak jej nagle mocniej zabiło serce.

— Powiedzieć, czy nie powiedzieć? — pomyślała.

I nagle zdecydowała się:

— Kupiłam wczoraj na wyprzedaży w bardzo eleganckim magazynie złocisty dżemper. Nosić go jednak nie będę.

— A dlaczego? — zdziwiła się Wierka.

— Nie jest mi w nim ładnie.



— Co za głupstwa. Napewno jest bardzo ładny.

Małgosia ścisnęła wargi.

— Głupia, głupia! — myślała. — Kto cię prosi, żebyś chwaliła przeklęty dżemper, kiedy ja się dopiero co uspokoiłam.

— Nie, powiedziała, żeby odrazu kres temu położyć. — Już go oddałam.

— Szkoda, zaopinjowała potępiająco Wierka, i zaczęła mówić o czemś innem.

Ale trwoga i rozpacz nie chciały już opuścić Małgorzaty. Żaden temat jej nie interesował. I nawet, gdy Wieroczka — dziwiąc się, że jej przyjaciółka nic jeszcze dotychczas nie wie — zaczęła jej opowiadać niesłychanie ciekawy romans Kokinej z Mokinem, — nagle przerwała jej pytaniem, nie mającem żadnego związku ani z Kokiną, ani z Mokinem:

— Więc ty uważasz, że złociste dżempry są ładne?

Wierka kilka chwil ze zdumieniem mrugała, lecz dość szybko zwekslowała na nowy temat.

— No, naturalnie, bardzo ładne.

— A ja uważam, że turkusowe są ładniejsze, rzekła Małgorzata i błagalnie spojrzała na Wierkę.

— Oj, jak ty się zupełnie nie znasz!! Turkusowe są banalne. Każda midinetka uważa błękitny dżemper za ideał piękności. A złociste są przecież szlachetne, złociste mówią wszak same za siebie.

— A co one mówią? — spytała z roztargnieniem Małgosia.

— No, wogóle — odrzekła Wiera. Widziałam raz złocisty dżemper na jednej szalenie szykownej kobiecie. Z czarną aksamitną spódniczką i ogromnemi czarnemi guzikami na plecach. Bardzo efektowne. Wszyscy na nią patrzyli.

— No, to do mojego też można przyszyć czarne guziki.

— Jakaś ty blada! Przerwała przyjaciółka. Dlaczego nic nie jesz?

— Nie mogę, wyjęczała Małgorzata. Ja mam dżemp... mam neurastenję.

*

Padał deszcz. Było zimno. Małgorzata postanowiła zajść do domu, włożyć coś cieplejszego



i przy sposobności popatrzeć na dżemper, — czy można przyszyć doń czarne guziki.

W domu nieoczekiwanie zastała gościa. Siedział on w gęsto zadymionym pokoju, ujrzawszy Małgosię, zerwał się i zawył:

— Co się stało?! Boże, przecież ja tu siedzę od wpół do dwunastej, a teraz jest trzecia!

— No, więc pan napróżno siedzi.

— Pani wybaczy, ale ja nie chcę pani zrozumieć, — obraźliwie wydął nozdrza gość. Umówiliśmy się, że przyjadę po panią i razem pójdziemy na obiad. Ja przyjeżdżam, czekam, denerwuję się, — no i macie. Macie.

Małgorzata zrobiła dostojny wyraz twarzy. Podniosła brwi, zacisnęła usta.

— Drogi panie, powiem panu otwarcie, że zupełnie zapomniałam o tych wszystkich obiadkach i innych głupstewkach. Ja, kochany panie, nie jestem bynajmniej tą próżną kobietką, za jaką pan mnie uważa... Mam, być może, dużo tajemnych cierpień, o których milczę i w porównaniu z któremi te wszystkie nasze drobiazgi życiowe i rozrywki wydają się tak podłemi głupstwami, że

aż wstyd mówić o nich. Mam nadzieję, że pan mnie zrozumiał?

Gość wytrzeszczył oczy, milczał jakiś czas i, skrzywiwszy usta, odpowiedział:

— Pani mi wybaczy, ale ja nie zrozumiałem absolutnie nic z tego, co pani raczyła powiedzieć. Zrozumiałem tylko to, że pani dlaczegoś szuka kłótni ze mną, i nie mam pojęcia, naco to pani.

— Ach, mój Boże! — złapała się za głowę, Małgosia. Dlaczego pan nie chce zrozumieć? Czyż pan nie widzi, jak ja jestem wymęczona, rozszarpana; przecież cały świat wali się na moją głowę. Bezrobocie, dzieciobójstwo, upadek obyczajów! Tak dłużej żyć nie można! Ja się duszę. Niech pan nareszcie zrozumie, że ja mam dże... dżem...

— Co pani ma? — spytał z przestrachem gość. — Kochanie, co pani jest?

— Dżemprastenja!! — załkała Małgosia i zakryła twarz rękami.

*

Przed kolacją przyszła rosyjska „beauté", to znaczy rosyjska dama, trudniąca się masażem twarzy.

Małgorzata przyjęła ją w sypialni, spuchnięta od łez. Siedziała na łóżku i trzymała w rękach żółty dżemper, patrząc nań z takim bezgranicznym smutkiem, z jakim patrzą wielkie aktorki tragiczne na prochy drogiego człowieka w końcu czwartego aktu.

— O, powiedziała, ujrzawszy „beauté". O, dżemper.

Twarz miała skamieniałą. Głos martwy.

— Niech no pani pokaże, rzekła ostro „beauté". Fe, jaki obrzydliwy kolor. Czyżby pani to kupiła?

— Można przyszyć czarne guziki... broniła się niezdarnie Małgosia.

— Co?? Gdzie?

— Na plecach.

— Oj, nie wytrzymam! Ha— ha — ha! Też pani wymyśliła! A to poco? Żeby do celu strzelać, czy co? Ha — ha! I kto pani to doradził? I czy ma pani naprawdę zamiar to nosić?

Lekki rumieniec ukazał się na bezbarwnych policzkach pani Małgorzaty. Uśmiechnęła się leciutko.

— Pani uważa, że on jest bardzo brzydki, ten dżemper?

— Wie pani, jak to mówiąc, gorszego nie możnaby znaleźć.

— Więc co mam z nim zrobić? — już zupełnie wesoło spytała Małgosia.

— Ale dżemper! — kręciła głową „beauté". Oj, wie pani co? Moja siostrzenica jedzie do Kaługi. O, tam toby się najlepiej nadało.

— Bajecznie! — wykrzyknęła Małgosia. Niech pani go odstąpi swojej siostrzenicy. A czy ona się nie obrazi?

— Ale skąd. Do Kaługi jedzie! A jak nie, to go przefarbuje. To już jej rzecz.

— O, Boże, jakie życie jest cudne! Anno Iwanówno, chce pani szyneczki? Ja jestem głodna, jak koza ś-go Izydora. Kochanie, jaka pani sympatyczna! Zjemy kolacyjkę i polecimy do kina, dobrze? Jakże wszystko jest piękne! Ach, jak wesoło!

tłum. Winter.

SŁUCHAMY PŁYT

KOLĘDY

Powstanie całego szeregu pieśni religijnych, zawdzięczać możemy tradycjom świąt kościelnych. Największa ilość najbogatszych i najbardziej melodyjnych przeznaczona jest na Boże Narodzenie. Są one dla nas szczególnie miłe, przemawiające swoją prostotą, graniczącą nieraz z naiwnością, przesiąknięte swojską melodją płynącą z pól i łąk. Twórcy kolęd są nam nieznani. Przypuszczać jednak należy, że byli to naogół ludzie prości, bez specjalnego wykształcenia muzycznego, wiejscy organiści, którzy pod wpływem zapamiętanych akordów pieśni kościelnych i ludowych piosenek, tworzyli zupełnie nowe melodje. Że były one utworami typowo lokalnemi świadczyć może różnorodność ich rytmiki i tekstów. Niestety przez cały szereg wieków, słowa i melodje ulegały przemianom i pomimo opracowań przez doskonałych nieraz muzyków, zatraciły potrosze pierwotną prostotę i wdzięk. Nic to jednak nie przeszkadza, że po uroczystej wigilji przy zapalonem drzewku, każdy chętnie posłucha kolęd w wykonaniu wybitnych artystów, łącząc wymagania tradycji z walorami estetycznemi.

Pokaźną ilość doskonałych płyt daje nam f-ma Syrena - Elektro. Wśród nich wyróżnia się szczególnie jedna z najstarszych kolęd sięgająca niemal XV wieku „Anioł pasterzom mówił", utrzymana w charakterze chorału, w wykonaniu chóru „Harfa". Na odwrocie przepiękna kolęda „Bóg się rodzi" ze słowami Franciszka Karpińskiego.

W innym charakterze utrzymana jest marszowa kolęda „Gdy się Chrystus rodzi", w wykonaniu art. op. warsz., Wiktora Bregy z towarzystwem tego samego chóru.

Doskonale „zespiewany" chór kościoła O. O. Jezuitów nagrał dwie kolędy „Cicha noc" i „Wśród nocnej ciszy". Partję solową miłym sopranem śpiewa M. Szalińska. Jedną rzecz tylko można zarzucić: kolędy w dość dowolnym układzie Maklakiewicza zatraciły swój urok prymitywu.

Szczęśliwym pomysłem było nagranie ślicznej kolędy Noskowskiego „Gwiazdka", którą w wyk. Eug. Mossakowskiego z tow. chóru Lachmana bardzo miło się słucha. Mniej może korzystnie wypadła inna kolęda „Jakaż to gwiazdka prześliczna" w tym samym wykonaniu.

Zbiorem wszystkich najbardziej znanych kolęd jest wiązanka Wiehlera. Rażą nas trochę w zastosowaniu do staroświeckich pieśni jazzowe przejścia i użycie nowoczesnych instrumentów, które stwarzają raczej nastrój karnawałowy.

Boże Narodzenie, to święta poświęcone przedewszystkiem dzieciom. Dlatego też nie mogło zabraknąć kolęd specjalnie przeznaczonych dla dzieci, dostosowanych do ich upodobań zarówno słowami, jak i nieskomplikowaną muzyką.

Mira Grelichowska doskonale wywiązuje się z zadania, śpiewając z zacięciem „Kolędę Gazeciarzy". Po drugiej zaś stronie słyszymy ją deklamującą kolędę do słów Wierzyńskiego.

Na zakończenie uroczystego dnia Wigilji, dnia pełnego wrażeń, Mieczysław Fogg ślicznie śpiewa melodyjną, pełną czaru i uroku kołysankę Macury „Piosenka o Baju".

Można jedynie życzyć Wszystkim, aby całe Święta upłynęły w tak pogodnym nastroju, jak ta przemiła piosenka.

H.

60-LECIE „STAREJ BAŚNI"

W roku 1876-ym a więc sześćdziesiąt lat temu po raz pierwszy ukazała się w druku „Stara baśń" jedna z najświetniejszych powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego, która po dzień dzisiejszy nie straciła nic ze swego uroku, z jakim zobrazowała legendę Piastowską.

Przy tej sposobności przypomnieć również należy, iż J. I. Kraszewski, który odznaczał się niezwykłą płodnością pisarską, w tymże 1876-ym roku wydał jeszcze utwory następujące: „Dzień Trzeci Maja" (utwór dramatyczny), dalej „Lubonie", powieść z czasów Mieczysława I-go i wreszcie „Bracia zmartwychwstańcy", powieść z czasów Bolesława Chrobrego.

NARESZCIE ŁADNE POCZTÓWKI WARSZAWY

Mamy do zanotowania fakt godny pochwały. Znana ze swych pięknych fotografij z Polski Ajencja Fotograficzno-Prasowa „Photo-Plat" opracowała serję pocztówek z Warszawy. Pocztówki te w oryginalnych odbitkach fotograficznych ze zdjęć Stefana Plater-Zyberka wypełniły dający się odczuć od wielu lat brak tego rodzaju wydawnictwa.

Ta drobna napozór sprawa ma jednakże doniosłe znaczenie propagandowe i kulturalne, gdyż pocztówka dociera do najdalszych zakątków świata, wystawiając dobre lub złe świadectwo krajowi, z którego pochodzi.

Dowiadujemy się, że jest to tylko pierwsza serja, a za nią nastąpią inne z Warszawy i innych miast polskich.

ŚWIAT FILMU

RECENZJE FILMOWE

„Papa się żeni" **Pan**

Nasi producenci filmowi wykazują ostatnio dużą żywotność. Liczba obrazów polskich wzrasta w szybkiem tempie, produkcja rozwija się, rozszerza zakres działania, wciąga w orbitę swych wpływów coraz nowe siły. Jakość ostatnich polskich filmów — nie wszystkich coprawda — stoi na coraz wyższym poziomie. Oglądając jednak różne mniej lub więcej udatne poczynania naszej produkcji, dochodzi się do nieodpartego wniosku, że naogół producenci błądzą po manowcach, chwytają owe przysłowione dwie sroki, nie mogąc się zdecydować na konsekwentne obranie właściwego kierunku.

„Papa się żeni" jest szczęśliwym przykładem pewnych logicznych wysiłków. Pan Michał Waszyński ma bodajże najszczęśliwszą rękę z naszych reżyserów filmowych ma „dryg" do komedji. Jego obrazy wykazują stały postęp i, w odróżnieniu od wygórowanych ambicyj „dramatycznych" innych producentów, przynoszą coraz to lepsze, szczęśliwsze pomysły i rozwiązania.

Zostawiwszy w spokoju Żeromskiego, sięgnięto do bogatego zbioru komedyj teatralnych i sfilmowano znaną farsę Rapackiego. Odpowiednie tempo, życie, werwa i pogodny rubaszny humor dają w rezultacie dobry, wesoły obraz.



Louise Latimer ukaże się wkrótce na ekranie w emocjonującym filmie wytwórni R. K. O. Radio p. t. „The Plot Thickens".



Lily Pons, której piękny głos podziwialiśmy w filmie „Kobieta zawsze ma rację" — wystąpi w obrazie RKO Radio p. t. „That girl from Paris".

Nie silmy się na komplementy. Wiadomo, że komedję łatwiej jest wyreżyserować i zagrać, niż trudny, ciężki dramat. Wszak jeden dobry dowcip potrafi zatuszować i uratować słabą scenę. Tych ostatnich jest jednak w komedjo-farsie Waszyńskiego bardzo niewiele. Nieszczególnie wypadły jedynie „występy" Zdzisława Rakowieckiego i Lidji Wysockiej. Ale mam wrażenie, że tu reżyser niewiele może poradzić. Panu Rakowieckiemu przydałoby się mniej pewności siebie, mniej arogancji, a zato bardzo dużo nauki. Trochę mniej zarozumiałości, a przy uważnej i wytężonej pracy można osiągnąć pozytywne rezultaty, zwłaszcza, że warunki zewnętrzne i wiek pozwalają mieć różowe nadzieje na przyszłość. Lidji Wysockiej natomiast niewiele pomoże nawet usilna nauka. Przy banalnej urodzie, niezręczności w ruchach i absolutnym braku wdzięku „czarować" nie można.

Palmę pierwszeństwa wśród świetnego zespołu musimy przyznać Jadzi Andrzejewskiej. Jej wdzięk, gra, charakteryzacja — na piątkę. Takiej roli nie powstydziłaby się żadna z wielkich gwiazd ekranu.

Fertner mimo pewnej szarży, dzięki trafnemu odczuciu komizmu — bez zarzutu. Mira Zimińska z dezynwolturą i zrozumieniem „kreowała" przesadną, histeryczną gwiazdę. Brodniewicz był trochę zanadto serjo, co raziło pewną sztywnością. Sielański zagalopował się w szarży i trudno go było strawić. W tak dużej porcji nie zawadziłoby trochę retuszu i dyskrecji. Grabowski swą małą rólkę szarżował do niemożliwości, co nie przeszkadzało mu jednak dobrze wywiązać się z zadania.

Zdjęcia inż. Steinwurcla mają już ustaloną dobrą opinję, montaż technicznie nieco słabszy, a kopja



John Beal i Margo, jako nierozłączna para aktorów wytwórni R. K. O. Radio, wielkimi krokami zdążają ku sławie.

chwilami zbyt ciemna. Dobrze dostosowana muzyka Warsa i niezłe, dość banalne teksty Jurandota w interpretacji Miry Zimińskiej miały swą jędrość i właściwe odczucie — w wykonaniu Wysockiej i Rakowieckiego wypadły blado.

Naprogram: tygodnik Pata i kreskówka Disneya „Miki kapelmistrzem" z mnóstwem zabawnych pomysłów i nieoczekiwanych dowcipów.

W sumie bardzo udany program. *J.*

„Jestem niewinny"

Światowid i Studio

Od dłuższego już czasu daje się zauważyć w kinematografji całego świata pewna ewolucja, zmierzająca do zbliżenia się do rzeczywistego życia. Wśród mniej, czy więcej udanych, często bardzo miłych i dobrze zrobionych romansów i błahych historyjek i awanturek miłosnych, w całej plejadzie filmów, obliczonych jedynie na zadowolenie wzrokowe i uprzyjemnienie wieczoru, coraz częściej pojawiają się obrazy o podłożu społecznem, dramaty życia codziennego, zagadnienia, zmuszające do refleksyj.

Jeden z głośniejszych realizatorów amerykańskich — Fritz Lang — twórca Nibelungów — przedstawił nam właśnie bardzo ciekawy film, znacznie odbiegający od utartego szablonu. Jego „Jestem niewinny" to jeszcze jedna czarna karta ponurej rzeczywistości amerykańskiej, ukazana całemu światu bez osłonek i zbędnych upiększeń. To wstrząsający krzyk uczciwej jednostki przeciw straszliwemu bezprawiu i upokarzającemu zdziczeniu „prawa Lynch'u".

Ustami odważnego prokuratora, straszliwą wymową faktów, przeraźliwym i poniżającym upadkiem uczciwego człowieka przemawia do nas Fritz Lang — reżyser i Fritz Lang — współtwórca scenarjusza, rzucając przed oczy miljonów widzów bezprzykładną w swej grozie historję pewnego wyroku, obraz ponurego zdziczenia i potwornej niesprawiedliwości.

Wstrząsający film.

Starannie opracowany scenarjusz, oparty na świetnem zrozumieniu bezmyślności i dzikich odruchów tłumu, skonstruowany wyraźnie, jasno i celowo, posłużył Langowi - reżyserowi do wykazania niesprawiedliwości i potworności Lynchu w sposób uniemożliwiający wszelkie sprzeciwy. Trafne podpatrzenie psychologji jednostki i tłumu,



Najmłodsza artystka filmowa Shirley Temple, w filmie p. t. „Nasza Gwiazdeczka" — na ekranie kina Atlantic.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

znakomite uwydatnienie kulis i podłoża akcji stwarza przy bardzo wysokim poziomie technicznym obrazu efekt o niebywałej sugestywności.

Postać Joe Wilsona, niewinnie oskarżonego o kidnaping odtwarza z rzadko spotykaną prawdziwością i plastycznością świetny tragik, Spencer Tracy. Mimo niesprzyjających warunków zewnętrznych, aktor ten nieprzeciętną grą i brutalnym realizmem przykuwa uwagę widza. Stwarza między widownią i ekranem tę nić porozumienia i odczucia, która jest warunkiem należytego przyjęcia filmu.

Sylvia Sidney dowiodła raz jeszcze, że poza znanemi już walorami kinowemi, wdziękiem i bezpośredniością, posiada ogromny atut: jest aktorką nieprzeciętnej miary.

Całość obsady dobrana jest świetnie. Wśród wykonawców nie widać miernoty. Wielcy czy mali, każdy zrobił to, co do niego należało, odegrał swą rolę uczciwie i prawdziwie i utrzymał narzucony przez reżyserję i wykonawców czołowych wysoki poziom gry.

Mistrzowsko wyreżyserowana rozprawa sądowa, pełne oczekiwania i niepewności napięcie, znakomite utrzymanie nastroju i sugestywne, realistyczne ujęcie poszczególnych scen zasługują na specjalne uznanie.



Edith Zeisler, znakomita tancerka, mistrzyni świata w tańcu na paluszkach i gwiazda filmowa — występuje w dancingu „Paradis".

Film, który wstrząsa sumieniami widzów, ma — na nieszczęście—zupełnie nieoczekiwane zakończenie: amerykański grzech pierworodny — happy end. To osłabia całość i razi końcowym zgrzytem banalności i nieszczerości.

Nadprogram świetna, pomysłowa kreskówka Walta Disney'a „W królestwie melodji" (wznowiona na żądanie publiczności) i groteska M. G. M. „Upiorny dom" obfitująca w znakomite makabryczne sceny w starym, opuszczonym domu, odznaczająca się świetną techniką wykonania i nieprzewidzianemi tragikomicznemi komplikacjami.

Poza tem z cyklu „Wycieczek do muzeów" — dalsza krótkometrażówka Dromlewiczowej i Biskego, którą dla uświetnienia krajowej produkcji należałoby opatrzyć tytułem: „Jak nie należy robić filmów propagandowych".

Muzeum Etnograficzne, przy niewątpliwem bogactwie i starannym doborze eksponatów, jest przedstawione tak nudno, jednostronnie, ubogo i bezbarwnie, że film, który „idzie" wśród prawie nieprzerwanego ziewania publiczności staje się antyreklamą pożytecznej placówki.

J.

ŚWIAT FILMU

Wytwórnia „Stefan Nasfeter"

Bardzo frapująco przedstawia się realizacja potężnego filmu, opartego na motywach religijnych p. t. „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie...". Kulisy tej produkcji są wprost rewelacyjne. Właściciel i założyciel wytwórni, pan Stefan Nasfeter nie należał do branży kinematograficznej i do produkcji filmów podchodzi nie pod kątem zysku dorywczego, ale z zamiarem poważnej pracy zgodnej z etyką i moralnością katolicką. Stefan Nasfeter, powszechnie szanowany obywatel ziemski i przemysłowiec wnosi do polskiego przemysłu filmowego wartości najwyższe — idealizm, bez którego żadna sztuka nie może wyjść poza ciasne koło rzemiosła i interesu.

Dlatego temat i tło filmu nie są przypadkiem, ale dobrze przemyślanem posunięciem nowej produkcji. To też wszyscy przyjaciele polskiego filmu z prawdziwem zainteresowaniem śledzą „nakręcanie" obrazu: „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie...".

Irena Agay i Hans Jaray w filmie „Jej wysokość tańczy walca" wyświetlanym w kinie Filharmonja.

Operetki autorów „Gejszy" na ekranie

Firma Paramount pertraktuje ze spadkobiercami praw do operetek Gilberta i Sullivana, których przedstawiciele, Wiliam Morris jr. i Harry Foster, bawią obecnie w Hollywood. Pertraktacje te są już w toku od szeregu tygodni i znajdują się na jaknajlepszej dla Paramountu drodze. Natychmiast po zawarciu odpowiedniego układu firma Paramount przystąpi do realizacji dwu najsłynniejszych operetek autorów „Gejszy" — „Mikado" i „Piraci". Obie te operetki cieszyły się wielkiem powodzeniem na całym świecie, i firma Paramount zamierza nie szczędzić funduszów na realizację, by pięknej i popularnej muzyce Gilberta i Sullivana dać godną oprawę filmową.

* * *

Wytwórnia amerykańska RKO Radio angażuje obecnie cały szereg sił więcej i mniej znanych w Europie. M. in. zaangażowano do jednego filmu Adolpha Wohlbrücka, słynnego artystę teatrów wiedeńskich, który w tym tygodniu rozpoczął w Hollywood pracę przy filmie „Michał Strogoff". Partnerką amerykańską Wohlbrücka będzie Margot Grahame.

* * *

Jeden z mało popularnych w Polsce aktorów Lee Tracy, będący jednym z najlepszych gwiazdorów Ameryki, ukaże się niedługo w Polsce obok Margot Grahame w wielkim filmie p. t. „Obrońca Karny". Film ten ukazał się niedawno na ekranach Ameryki i przedstawiony został jury pism amerykańskich do pierwszej nagrody w głosowaniu na najlepszy film roku.



Tak będzie wyglądała Ann Dworak w filmie wytwórni R. K. O. Radjo p. t. „Racing Lady".

REDAKTOR L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Dr. „Polska Zjednoczona" Warszawa

